

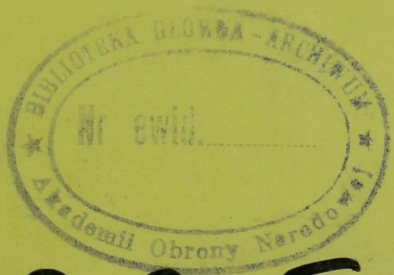
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



AKADEMIA SZTABU GENERALNEGO

IM. GENERAŁA BRONI
KAROLA ŚWIERCZEWSKIEGO

WSPOMNIENIA
OFICERÓW WOJSK INŻYNIERYJNYCH
Z LAT WOJNY ORAZ POKOJOWEJ PRACY
W ODBUDOWIE KRAJU I UMACNIANIU
WŁADZY LUDOWEJ



12354

WARSZAWA KWIECIEŃ 1975

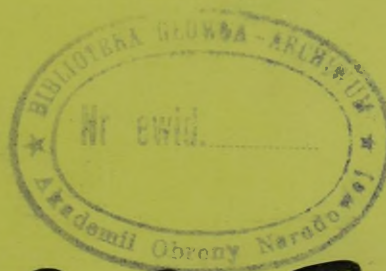




**AKADEMIA
SZTABU GENERALNEGO**

IM. GENERAŁA BRONI
KAROLA ŚWIERCZEWSKIEGO

**WSPOMNIENIA
OFICERÓW WOJSK INŻYNIERYJNYCH
Z LAT WOJNY ORAZ POKOJOWEJ PRACY
W ODBUDOWIE KRAJU I UMACNIANIU
WŁADZY LUDOWEJ**

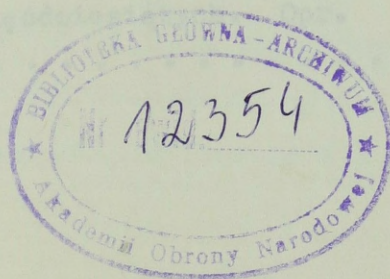


12354

WARSZAWA KWIECIEŃ 1975

AKADEMIA SZTABU GENERALNEGO WP
im. generała broni Karola Świerczewskiego

WSPOMNIENIA
OFICERÓW WOJSK INŻYNIERYJNYCH Z LAT WOJNY
ORAZ POKOJOWEJ PRACY W ODBUDOWIE KRAJU
I UMACNIANIU WŁADZY LUDOWEJ



THE JOURNAL OF THE ...

... ..

... ..

SPIS TREŚCI

	Str.
WSTĘP	5
1. W XXX rocznicę forsowania Odry i Nysy Łużyckiej. Opr. T. Procak	6
2. Jak zostałem pontonierem. Opr. Br. Pawłowski	15
3. Pamiętna noc nad Odrą. Opr. H. Kalinowski	27
4. Na Łużyckim szlaku. Opr. Wł. Kural	32
5. Szlakiem 19 samodzielnego batalionu saperów. Opr. St. Soroka	45
6. Tam gdzie przeszła noga sapera. Opr. Wł. Siemasz - kiewicz	72
7. A jednak żyję. Opr. T. Procak	80
8. Jedna noc w życiu sapera. Opr. K. Dideńko	91
9. Mój udział w rozminowaniu Ziemi Mazowieckiej. Opr.. A. Kabara	96
10. Walka z żywiołem. Opr. A. Kabara	101
11. Przełęcz Dukielska z lat pięćdziesiątych. Opr. Wł. Geruła	105

1. Introduction 102

2. The first part of the work 103

3. The second part of the work 104

4. The third part of the work 105

5. The fourth part of the work 106

6. The fifth part of the work 107

7. The sixth part of the work 108

8. The seventh part of the work 109

9. The eighth part of the work 110

10. The ninth part of the work 111

11. The tenth part of the work 112

12. The eleventh part of the work 113

13. The twelfth part of the work 114

14. The thirteenth part of the work 115

15. The fourteenth part of the work 116

16. The fifteenth part of the work 117

17. The sixteenth part of the work 118

18. The seventeenth part of the work 119

19. The eighteenth part of the work 120

20. The nineteenth part of the work 121

21. The twentieth part of the work 122

22. The twenty-first part of the work 123

23. The twenty-second part of the work 124

24. The twenty-third part of the work 125

25. The twenty-fourth part of the work 126

26. The twenty-fifth part of the work 127

27. The twenty-sixth part of the work 128

28. The twenty-seventh part of the work 129

29. The twenty-eighth part of the work 130

30. The twenty-ninth part of the work 131

31. The thirtieth part of the work 132

32. The thirty-first part of the work 133

33. The thirty-second part of the work 134

34. The thirty-third part of the work 135

35. The thirty-fourth part of the work 136

36. The thirty-fifth part of the work 137

37. The thirty-sixth part of the work 138

38. The thirty-seventh part of the work 139

39. The thirty-eighth part of the work 140

40. The thirty-ninth part of the work 141

41. The fortieth part of the work 142

42. The forty-first part of the work 143

43. The forty-second part of the work 144

44. The forty-third part of the work 145

45. The forty-fourth part of the work 146

46. The forty-fifth part of the work 147

47. The forty-sixth part of the work 148

48. The forty-seventh part of the work 149

49. The forty-eighth part of the work 150

50. The forty-ninth part of the work 151

51. The fiftieth part of the work 152

WSTĘP

Opracowanie ukazuje się w XXX rocznicę forsowania Odry i Nysy Łużyckiej oraz zakończenia II wojny światowej, gdy cały naród, święcąc radośnie i dumnie tę rocznicę, wspomina dziś wyzwolicieli Warszawy, Poznania i Ziemi Zachodnich, zwycięzców spod Siekierok, Budziszyna i Berlina.

Niniejszy zbiór wspomnień opracowanych przez byłych i obecnych pracowników dydaktyczno-naukowych Akademii Sztabu Generalnego WP, obejmuje osobiste relacje i refleksje autorów od momentu powołania ich do służby wojskowej w 1944 r. na skrawku wyzwolonej ziemi Ojczyściej, aż do zwycięskiego zakończenia II wojny światowej oraz ich udział w walkach ze zbrojnym podziemiem, w akcjach przeciwpowodziowych i rozminowaniu kraju.

Publikując swoje wspomnienia autorzy opracowania pragną przyczynić się choć w skromnej mierze, do zachowania w pamięci nowych pokoleń oficerów wojsk inżynieryjnych tych, którzy ofiarą swojej krwi, a nawet życia okupili wolność Ojczyzny, zwycięstwo nad faszyzmem i stworzyli warunki do rozwoju i rozkwitu Polski Ludowej.

I. W XXX ROCZNICE FORSOWANIA ODRY I NYSY ŁUŻYCKIEJ

Dzień 16 kwietnia - rocznica zwycięskiego przekroczenia Odry i Nysy Łużyckiej - jest świętem Wojsk Inżynieryjnych, tradycyjnym dniem saperów. Dzień ten saperzy obchodzą uroczyście od 1946 r. zgodnie z rozkazem nr 105 z dnia 4 kwietnia 1946 r. wydanym przez ówczesnego naczelnego dowódcę WP, marszałka Polski Michała Rolę Żymierskiego. W rozkazie tym m.in. czytamy: "W uznaniu wielkich zasług Wojsk Saperskich, położonych dla Ojczyzny w walkach z niemieckim najeźdźcą i dla upamiętnienia bitwy nad Odrą i Nysą rozkazuję - ustalić w dniu 16 kwietnia, jako dniu sforsowania Odry i Nysy, doroczne święto Wojsk Saperskich"...

Tegoroczne święto Wojsk Inżynieryjnych, rocznicę forsowania Odry i Nysy przez 1 i 2 A Wojska Polskiego, obchodzimy w trzydziestą rocznicę zakończenia II wojny światowej. Stwarza to doskonałą okazję do podsumowania naszej drogi saperskiej, która zawsze była nierozzerwalnie związana z walką o wyzwolenie Polski i odbudową oraz rozbudową kraju.

A była to droga nadzwyczaj trudna - zorana lejami, pocięta umocnieniami i zaporami, rzekami i kanałami, droga przez zgliszcza i ruiny; była to droga ciężkiej pracy nadludzkiego wysiłku, poświęceń i tragedii, droga krwi i potu, śmierci i mogił, ale co najważniejsza - była to droga tryumfu oręża polskiego, droga sławy saperów polskiego, a zarazem - droga najkrótsza do Ojczyzny.

Na tej drodze wojska inżynieryjne, z racji swego przeznaczenia, wyszkolenia i uzbrojenia, wykonywały różne zadania bojowe - walcząc i pracując w pierwszych szeregach - i tym właśnie się różniły od wielu innych, technicznych rodzajów wojsk, że musiały działać w ścisłym kontakcie z walczącymi wojskami, w pierwszej linii, pod ogniem nieprzyjaciela wykonywać przejścia w polach minowych, urządzać przeprawy, torować drogę piechocie i kolumnom pancernym, budować mosty. "Pracownicy wojny", "termity wojenne", "saperzy - broń walcząca o czas", "rodzaj broni, którą własne wojska na polu bitwy albo kłąć będą, albo nosić na rękach", "saperzy - to rodzaj broni, którego zawsze jest za

mało" - to nie puste słowa - slogany używane podczas drugiej wojny światowej, a słowa pełne treści, w których zostały wyrażone rola i znaczenie wojsk inżynieryjnych na polu walki. Słynny pisarz radziecki, a jednocześnie korespondent wojenny Armii Radzieckiej I. Erenburg pisząc o saperach oddał istotę i sens ich trudnego działania w następujących słowach:

"Są żołnierze, o których czynach rzadko się mówi. Męstwo ich okrywa cień chwały, odwagę maskuje kolor ochronny. Żołnierze ci to saperzy, którzy w mozołę i czarnym trudzie wykuwają drogi zwycięstw. Znany nazwiska słynnych architektów, ważnych budowniczych, którzy stoją na najwyższych rusztowaniach. Ale poza nimi są jeszcze bezimienne rzesze ludzi, którzy gdzieś w kamieniołomach kruszą kamień. I bez nich także nie mielibyśmy pięknych domów, tak jak bez saperów zwycięstw".

Nasz pisarz i korespondent wojennych Polskich Sił Zbrojnych walczących na Zachodzie - Melchior Wańkowicz tak pisze o naszych saperach "Jeśli tamta wojna była pozycyjna, a czyjeż to dzieło okopy jak nie saperów - to zdawałoby się, że w ostatniej wojnie, ruchomej, saper zejdzie w cień. Tymczasem to właśnie ta wojna, w której saper dwoił się i troił na rozmaite zadania, przyniosła nam wspaniałą rozkwit sztuki saperskiej. Bo wojna ta pędziła na skrzydłach saperskiej pracy - i walki".

Realizując w minionej wojnie swą trudną i odpowiedzialną, a zarazem zaszczytną misję, saperzy polscy obficie zrosili krwią swój szlak bojowy. Świadczą o tym straty w zabitych i rannych. Podczas pierwszej wojny światowej pod względem strat saperzy zajmowali drugie miejsce po piechocie, podczas drugiej wojny światowej ustępowali tylko czołgistom.

Przebyty w czasie II wojny światowej szlak bojowy wojsk inżynieryjnych ludowego Wojska Polskiego jest nierozzerwalnie związany z historią i działaniami 1 i 2 Armii Wojska Polskiego. Pierwsze jednostki wojsk inżynieryjnych ludowego Wojska Polskiego powstały i rozwijały się dzięki wszechstronnej pomocy Związku Radzieckiego, począwszy od organizacji 1 batalionu saperów 1 Dywizji Piechoty imienia Tadeusza Kościuszki, aż do sześciu samodzielnych brygad i około 50 batalionów inżynieryjno-saperskich, pontonowo-mostowych, pułku zapasowego, Oficerskiej Szkoły Saperów oraz organicznych pododdziałów - plutonów

i kompanii - pułków piechoty, jednostek kawalerii, pancernych i zmotoryzowanych.

Na szlaku tym najpierw było Lenino, pamiętny dzień 12 października 1943 r. gdzie przeszła chrzest bojowy 1 DP im. T. Kościuszki, a wraz z nią saperzy naszego pierwszego batalionu, niezapomniana rzeka Miereja z jej błotnistą doliną i pierwszy desant saperów na czołgach.

Następnie - po przekroczeniu rz. Bug przez zwycięskie wojska rozgorzały walki o ziemię ojczystą. Saperzy w tej walce byli wszędzie. Brali udział w walkach pod Dęblinem i Puławami, gdzie 11 batalion 1 Brygady zabezpieczał forsowanie Wisły przez 1 DP, a 8 bsap - 2 DP w rejonie Łęku. W czasie tych działań saperzy pod huraganowym ogniem przeprawili ponad 1000 ludzi z uzbrojeniem, a potem zbudowali drewniany most w rejonie Wólki Profeckiej.

Na przyczółku Warecko-magnuszewskim bataliony 1 brygady wykonywały 314 obrotów pontonami i 91 promami, a następnie wraz z 6 batalionem pontonowo-mostowym i 7 samodzielnym batalionem inżynieryjno-saperskim, 2 batalionem drogowym, 3 batalionem mostowym oraz dywizyjnymi batalionami /1 i 2 bsap/ zbudowały w rejonie wsi Wielkolas w rekordowym tempie, bo w ciągu 82 godz. słynny polski most długości 915 m, zapewniając ciągłość przeprawy wojsk na przyczółek.

We wrześniu 1944 r. 6 batalion pontonowo-mostowy oraz 7 i 10 batalion saperów zabezpieczały działania 3 DP mające na celu udzielenie pomocy powstańcom warszawskim. Rezultat wysiłku saperów stanowiły przeprowadzenie 1700 żołnierzy na przyczółek czerniakowski i ewakuacja 313 rannych na własny brzeg.

W styczniu 1945 r. w czasie historycznej operacji warszawskiej saperzy zabezpieczali przeprawę wojsk 1 Armii przez rz. Wisłę. W tej operacji nastąpiło największe ilościowe ześrodkowanie jednostek wojsk inżynieryjnych, a jednocześnie miał miejsce ich największy dotychczas wysiłek i wspaniały rezultat - wyzwolenie Warszawy. Od tej chwili aż do dnia dzisiejszego saperzy, wiążą trwale ze stolicą kraju swój los. Budowa mostów stałych i pontonowych, odbudowa mostu Poniatowskiego, rozminowanie Warszawy - oto ich główne w tym okresie czasu zadania.

Rozminowanie i odbudowa stolicy - to jedna z najchlubniejszych kart w historii walki i pracy saperów polskiego, pierwsza wielka szkoła zdobywania doświadczeń i umiejętności potrzebnych do wykonywania oczekujących go zadań w zakresie rozminowywania i odbudowy wyzwolonego kraju.

W pierwszym rzucie Warszawę rozminowywały: 2 Brygada której dowództwo stanowiło Miejski Sztab Rozminowania, 4 i 5 Brygada, 11 batalion 1 Brygady i kilka jednostek radzieckich. "Min nie ma", "min niet" - to pierwszy najpiękniejszy dar dla stolicy.

Dalej nasz szlak chwały wiedzie nad Odrę i Nysę Łużycką. Po drodze były jeszcze ciężkie walki o Wał Pomorski i Kołobrzeg.

W kolejnej operacji berlińskiej głównym zadaniem saperów było zabezpieczenie forsowania i przeprawy wojsk przez Odrę, Starą Odrę, kanały - Hawelę i Szprewę oraz zapewnienie wysokiego tempa natarcia, polegające na przygotowaniu odpowiednich dróg.

Najwyższy kunszt sztuki saperskiej wojska inżynieryjne osiągnęły w czasie zabezpieczenia forsowania i przeprawy na Odrze na kierunku berlińskim, w którym udział wzięły: 1 BSap /8,9,10,11 batalion/, 7 batalion saperów, 6 i 31 batalion pontonowy oraz bataliony dywizyjne - razem 12 batalionów.

Od 14 do 16 kwietnia zorganizowano przeprawę promową na południe od Gozdowic, którą obsługiwały: 7 i 9 batalion saperów oraz 6 batalion pontonowo-mostowy. W ciągu dwóch nocy przeprowadzono na przyczółek oddziały 3 DP oraz jeden z oddziałów 2 DP. W godzinach wieczornych 16 kwietnia 6 i 31 batalion pontonowo-mostowy i 9 batalion saperów zbudowały w rejonie Gozdowic most pontonowy długości 275 m. Z chwilą rozpoczęcia natarcia przez 1 Armię w dniu 16 kwietnia w rejonie Siekierok zorganizowano przeprawy desantowe i promowe dla 1 DP. W dniu następnym tj. 17 kwietnia, wykonano manewr sprzętem przeprawowym, który polegał na przeniesieniu mostu pontonowego z rejonu Gozdowic o 6 km w dół rzeki. Z kolei 18 kwietnia 9 i 11 batalion saperów oraz bataliony drogowo-mostowe przystąpiły do budowy stałego mostu drewnianego długości 220 m obok mostu pontonowego, a 7 batalion saperów wybudował most pontonowy przez Starą Odrę w rejonie Wrizen, natomiast 8 i 10 batalion saperów uru -

chomiły przeprawy promowe. Rano 20 kwietnia 6 batalion ponto - nowo-mostowy wybudował w ciągu 2 godzin most pontonowy przez Starą Odrę, a 10 batalion saperów - most stały. Tak w ogólnym zarysie przedstawiało się działanie wojsk inżynieryjnych /armijnych/ na Odrze.

Męstwo, hart i odwaga połączone z brawurą, wysokie umiejętności dowódców i żołnierzy, zgrany kolektyw, świadomość politycznych celów, oraz dość duże nasycenie wojsk inżynieryjnych na odcinku działania 1 Armii /średnio 2,5 batalionu na dywizję, a na głównym kierunku 3 bataliony na dywizję/ - to czynniki które między innymi decydowały o naszym sukcesie, o uznaniu wyrażonym saperom przez polskie i radzieckie Naczelne Dowództwo, o tym właśnie, że dzień 16 kwietnia obchodzimy jako święto saperów.

Polityczne znaczenie tego historycznego wydarzenia polegało na tym, że wśród żołnierzy polskich, również saperzy stanęli na prastarej granicy piastowskiej świadomi faktu, że te ziemie - to już Polska. Kiedy dziś z dumą patrzymy na te ziemie - pamiętamy o bohaterskich saperach, którzy wkopali tu pierwsze słupy graniczne, symbole powrotu tych ziem do Macierzy.

Na podkreślenie zasługuje ważny fakt historyczny, z którego wynika, że 6 batalion pontonowo-mostowy /3 BPont - most/, został podporządkowany 2 gwardyjskiej Armii Pancernej gen. Bogdanowa i już 27 lutego 1945 r. dotarł z nią nad Odrę, a żołnierze tego batalionu pierwsi wbili w Czelinie nad Odrą słup graniczny z białym orłem i napisem "Granica Państwa Polskiego".

Ostatni wysiłek zbrojny - to szturm Berlina, w którym wzięły udział 1 i 6 batalion saperów. Saperzy i pontonierzy tych jednostek byli świadkami zatknięcia zwycięskich sztandarów: czerwonego na murach Reichstagu i białego czerwonego na Bramie Brandenburskiej. W Berlinie saperzy 1 Armii zakończyli swój ciężki, lecz chlubny szlak bojowy.

Na południu wojska inżynieryjne 2 Armii - 4 brygada saperów /25,28,30 i 32 bsap/, 14,19 i 20 bataliony dywizyjne - zabezpieczyły forsowanie Nysy Łużckiej, a następnie - wysokie tempo pościgu. Szczególnie zaś zapewniały swobodę działań związkom i oddziałom 1 Korpusu Pancernego, by 10 maja zakończyć swój szlak bojowy w czeskim Mielniku.

Za wzorowe wykonywanie zadań na froncie saperzy polscy 7-krotnie byli wyróżniani w rozkazach Naczelnego Dowództwa Armii Radzieckiej, sztandary czterech jednostek inżynieryjnych udekorowano Krzyżem Grunwaldu III klasy /1,2,3 i 4 brygada/, pięć sztandarów Krzyżem Virtuti Militari V klasy /8 i 9 bsap 1 BSap, 1,2 i 13 bsap/, sześć sztandarów wysokimi odznaczeniami radzieckimi: Order Kutuzowa II stopnia otrzymała 1 BSap, Order Aleksandra Newskiego - 4 BSap, Order Czerwonej Gwiazdy - 10 i 11 bsap 1 BSap, 6 bpont - most i 7 bsap.

Za wybitne zasługi w poszczególnych operacjach pięć jednostek inżynieryjnych otrzymało miano "Warszawskich" /1 i 2 BSap, 3 bbm, 6 bpont. - most., 7 bsap/, trzy - "Kołobrzeskich" /8 i 9 bsap 1 BSap, 13 bsap/, jedną "Łużyckiej" /4 BSap/ i jedną - "Mazurskiej" /5 BSap/.

W walce o niepodległość Ojczyzny jednostki wojsk inżynieryjnych okryły chwałą swe bojowe sztandary, okazały się godnymi spadkobiercami najpiękniejszych tradycji Wojska Polskiego i tradycji wojsk inżynieryjnych.

A tradycje wojsk inżynieryjnych sięgają jeszcze czasów przedrozbiorowych, czasów powstań narodowych /kościuszkowskiego, listopadowego, styczniowego/, wojny obronnej 1939 r., walki Polski podziemnej - walk partyzanckich, powstania warszawskiego i wszystkich innych zmagania, w których uczestniczył żołnierz polski. Tradycje nasze są związane z imionami wielu bohaterów narodowych - naczelnika Tadeusza Kościuszki, generałów: Karola Sierakowskiego, Jakuba Jasińskiego, Michała Sokolnickiego, Ignacego Prądzyńskiego, Klemensa Kołaczkowskiego, płk. Romualda Traugutta oraz imionami wielu jeszcze innych znanych i bezimiennych bohaterów, którzy kształtowali nasz honor i przysparzali nam sławy.

Tradycjom tym saperzy pozostali wierni również w okresie pokoju, bowiem jako pierwsi tuż po zakończeniu działań wojennych przystąpili do usuwania pozostałości wojny i odbudowy zniszczonego kraju.

Zaczyna się zatem druga karta naszej historii. To już nieco inny szlak bojowy.

Najpierw rozminowanie niektórych obszarów kraju, a szczególnie obiektów przemysłowych i komunikacyjnych rozpoczęte już

w 1945 r., a następnie stałe oczyszczanie kraju z min i niewypałów, które trwa do dnia dzisiejszego. Zakres pracy był olbrzymi: 5800 km² oczyszczonego obszaru o dużej gęstości zaminowania, 13654 km² o średniej gęstości, a oprócz tego tereny podejrzane o zaminowanie, które należało sprawdzić. Jaki to był ogromny wysiłek, niech świadczą cyfry: ponad 14 milionów zdjętych min, 70 milionów niewypałów - to plon pracy saperów, to tyle właśnie razy śmierć zaglądała im w oczy. Wspomnijmy choćby dla przykładu rozminowanie przyczółków na Wiśle, słynnej Przełęczy Dukielskiej, rozminowanie Warmii i Mazur, byłej kwatery Hitlera k/Kętrzyna, Puszczy Augustowskiej i wielu innych regionów i miast Polski, które po Warszawie stanowią niewątpliwie chlubne karty naszej historii i naszego wkładu w dzieło odbudowy kraju.

Biorąc pod uwagę zarówno względy ekonomiczne, jak i polityczne można bez przesady stwierdzić, że w akcji rozminowania saperzy dokonali pracy wprost gigantycznej, trudno wymiernej /choćby oceniano ją na ok. 3 miliardy złotych/, która w zasadniczy sposób rzutowała na likwidację skutków wojny i szybkie tempo rozwoju naszego kraju.

Równoległe z akcją rozminowania kraju wojska inżynieryjne przyszyły z pomocą gospodarce narodowej odbudowując szereg mostów stałych, budując i utrzymując mosty pontonowe. Takie miasta, jak Warszawa, Wrocław, Modlin, Puławy, Włocławek, Grudziądz, Biedrusko /1946-1947 r./ dobrze pamiętają tę pomoc.

Trudno jest w krótkim zarysie ukazać cały wkład wojsk inżynieryjnych w dzieło rozwoju gospodarki narodowej. Ma on charakter wielowymiarowy, powiększa się z każdym rokiem i obejmuje coraz to nowe dziedziny życia gospodarczego.

Dzięki ofiarnej pracy saperów dziesiątki tysięcy hektarów zaminowanej i leżącej odłogiem ziemi oddano pod uprawę. Rozminowanie wielu tysięcy kilometrów dróg kołowych, torów kolejowych i mostów umożliwiło korzystanie z podstawowych arterii komunikacyjnych. Tysiące ważnych obiektów, fabryk i kopalń zwrócono gospodarce narodowej.

W czasie klęsk żywiołowych, a przede wszystkim katastrofalnych powodzi głównie na saperach spoczywa zasadniczy ciężar ratowania ludzi i ich dobytku. W wyniku dokonania licznych

ofiarnych i odważnych akcji obroniono dziesiątki różnych obiektów. W czasie tych akcji saperzy wykonywali zarówno prace, które można wycenić w sensie materialnym, jak i często dokonywali czynów, które trudno jest wycenić. Nie podlega bowiem wycenieniu uratowane życie ludzkie oraz pomoc lekarska, przewóz chorych i rannych do szpitali lub dzieci do szkół.

Po spłynięciu kry lodowej i mas wody saperzy pierwsi spieszą do naprawy zniszczeń - budują mosty, naprawiają drogi, linie kolejowe i wały przeciwpowodziowe.

Do tego uproszczonego bilansu należy dodać i to, że prace na rzecz gospodarki narodowej wykonują saperzy w ramach szkolenia wojskowego, utrzymując równocześnie wysoką gotowość bojową do wykonania zadań. Najlepszym poligonem dla szkolenia saperskiego są tereny budowy, ziemie, lasy i drogi.

Dziś wojska inżynieryjne wzrosły przede wszystkim jakościowo. Powstały nowe nie spotykane w czasie II wojny światowej pododdziały specjalistyczne. Zgodnie z zachodzącymi zmianami w sztuce operacyjnej i taktyce prowadzenia działań bojowych wyposażono je w nowoczesny sprzęt techniczny i środki odpowiadające wymaganiom współczesnego pola walki.

Coraz nowocześniejszy sprzęt, którym dysponują dzisiaj wojska inżynieryjne nie tylko bardziej odpowiada potrzebom obronności państwa, lecz także zwiększa ich przydatność w rozbudowie kraju.

Po dziś dzień saperzy wcielają w czyn podstawową ideę demokratycznego Wojska Polskiego - ideę nierozzerwalnej więzi żołnierza z narodem, wojska z ludem. Zasłużyli też w pełni na najwyższe uznanie naszej partii, władzy ludowej i gorące uczucia wdzięczności, jakimi darzy ich społeczeństwo.

Okres powojenny udowodnił, że żołnierze wojsk inżynieryjnych są godnymi spadkobiercami tych, którzy w latach wojny walczyli z naszymi wrogami. Dlatego też naród nasz może być pewny, że zawsze z honorem wykonamy każde postawione przed nami zadanie.

Bilans osiągnięć wojsk inżynieryjnych zarówno w dziedzinie pomocy udzielonej gospodarce narodowej, jak i w dziedzinie obronności kraju jest najlepszym dowodem dobrze spełnionego obowiązku wobec Ojczyzny.

W 30 rocznicę święta saperów pozdrawiamy wszystkich weteranów wojsk inżynieryjnych rozsianych po całej Polsce, którzy swą walką i pracą budowali i umacniali nasze szeregi, tworzyli naszą przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, tworzyli naszą historię, uczyli młode zastępy zaszczytnej, choć trudnej sztuki saperskiej. Serdecznie pozdrawiamy bratnich saperów radzieckich: dowódców, wychowawców, wykładowców i instruktorów, którzy szkolili saperów ludowego Wojska Polskiego, zostawiając wśród nas część swego życia, a nieraz i całe życie.

W dniu tym oddajmy hołd wszystkim żołnierzom wojsk inżynieryjnych poległym w czasie wojny światowej w obronie Ojczyzny, w walce o jej wyzwolenie i w pracy przy jej odbudowie; oddajmy hołd również tym saperom, którzy walcząc na ziemi obcej umierali z imieniem Polski na ustach, w rozpaczy nie spełnionego marzenia.

Niech wiecznie żyje wśród nas pamięć saperów tragicznego września - poległych pod ciosami hitlerowskiej przemocy, walczących brawurowo na czele atakujących wojsk oraz osłaniających ich odwrót, saperów spod Lenino, Puław, Warszawy, Wału Pomorskiego i Kołobrzegu, znad Mierci, Wisły, Odry i Nysy Łużyckiej, spod Drezna i Berlina, saperów Polski walczącej w czarnej noc okupacji, saperów spod Monte Casino, saperów bestialsko pomordowanych w niewoli niemieckiej oraz saperów poległych na polach minowych, podczas odbudowy kraju i niesienia pomocy społeczeństwu w czasie klęsk żywiołowych.

Cześć ich pamięci.

II. JAK ZOSTAŁEM PONTONIEREM

Alarm ogłoszony 5.11.1944 r. o godzinie 5 rano dla elewów Podoficerskiej Szkoły Saperów w Jarosławiu przesądził o moim życiu. Bez mojego udziału i wiedzy zdecydowano o mojej najbliższej i dalszej przyszłości. Gdy oceniam to wydarzenie z perspektywy czasu, to zdaję sobie sprawę z tego, że alarm ten wywarł piętno na całym dotychczasowym moim życiu, ukierunkował moją działalność oraz pośrednio określił moje miejsce w społeczeństwie.

Elewem Podoficerskiej Szkoły Saperów przy 2 zapasowym pułku saperów zostałem przypadkowo, zresztą podobnie jak wielu innych. Na początku września 1944 roku na komisji wojskowej w RKU Jarosław otrzymałem pisemny przydział do piechoty. Oficer w stopniu porucznika, po zadaniu kilku zdawkowych pytań w rodzaju co mi dolega, na co narzekam itp. wpisał na skierowanie moje personalia, a wręczając mi je jakby odniechceni i zastanawiając się nad czymś, spytał jeszcze raz o rok urodzenia, a kiedy podałem 1927, sprawdził zgodność tej informacji z wpisem na wręczonym skierowaniu i zawyrokował, że nie mogę być przyjęty do wojska, ponieważ nie jestem pełnoletni, a wojna jest nie dla dzieci. Na mój argument, że przyszedłem do Jarosławia, przekraczając granicę i całą swoją rodzinę mam za Samem, więc nie będę miał co począć ze sobą, usłyszałem, że to nic nie szkodzi - otrzymam przepustkę na przejście granicy i wrócę do Kałusza. Ponieważ nadal obstawałem przy zamiarze pójścia do wojska, zabrał moje skierowanie z przydziałem do piechoty i oświadczył - "daję Wam pół godziny czasu do namysłu, zastanówcie się dobrze - wojna to nie żarty, radzę Wam wziąć przepustkę i jechać do mamy".

Pozostając sam na sam z własnymi myślami przypominałem sobie najważniejsze momenty zarówno te dobre jak i te złe ze swojego dzieciństwa, przywołałem w swojej wyobraźni dwie wizje przyszłości - cywilną i wojskową, przypominałem nauki matki i pani wychowawczyni ze szkoły, a te w odniesieniu do Ojczyzny i ceny jej wolności były zgodne. Nie mogłem nie wziąć pod uwagę prawie już miesięcznego pobytu z dala od najbliższych /po raz pierwszy w życiu/, pieszy marsz w kilkutyśnej kolumnie

ze Stanisławowa poprzez Halicz, Rohatyn, Lwów, Przemyśl do Jarosławia, a w czasie jego trwania noclegi na błoniach, w parkach i na cmentarzach, głód i zimno, brak zainteresowania nami, marsz powrotny i tułaczka w Radymnie, tu noclegi w parku Lubomirskich czy Czartoryskich zresztą jednakowo zimne w nocy i głodne w dzień, teraz z powrotem Jarosław i ta komisja, może w końcu będziemy potrzebni. A powrót, gdzie? Do czego? - Wszystko na wsi spalone przez bandy UPA, cudzy kąt w mieście i co dalej? Co powiem rodzinie na powitanie, wstyd przed znajomymi - przed niespełną miesiącem, bez zgody matki i aprobaty ojca, dumny opuszczałem dom z plecakiem w tajemnicy przygotowanym przed najbliższymi za nic miałem rady rodziny i znajomych, a teraz wstyd powrotu i upokorzenie, kpiny znajomych i pokazywanie palcami na "syna mamotrwanego". Powtórnie uznałem jednak moją pierwotną decyzję za właściwą.

Gdy minęło pół godziny, podchodzę do porucznika, który mnie załatwiał i z udawaną pewnością siebie proszę o skierowanie do wojska. Porucznik patrzy na mnie, drąc na kawałki moje skierowanie do piechoty, każe mi zapamiętać i wspomnieć kiedyś jego dobre rady, następnie wypisuje nowe skierowanie z przydziałem do szkoły łączności bez bliższego sprecyzowania, o jaką szkołę chodzi. Przydziałem tym byłem bardzo zmartwiony, ponieważ żaden z moich bliskich kolegów nie otrzymał skierowania do tej szkoły. Zmartwienie - jak się to później okazało - było przedczesne i niepotrzebne. Wszyscy załatwieni w tym dniu przez komisję i zakwalifikowani jako zdolni do służby wojskowej /nie przypominam sobie, ażeby z kilkuset osób stojących przed komisją w tym dniu, uznano kogoś za niezdolnego/ po zakończeniu pracy komisji zostali uformowani w kolumny i - niezależnie od posiadanych w kieszeni skierowań i przydziałów do różnych rodzajów wojsk otrzymanych przed chwilą - w szyku zwartym wprowadzeni w bramę 2 zapasowego pułku saperów. Nie ważne było wówczas to, że los skierował mnie w szeregi saperów, do mało znanego i nieatrakcyjnego /sąd ówczesny/ rodzaju broni. Najważniejszy był fakt, że nadal byłem razem z najbliższymi przyjaciółmi.

Krótką kwarantanna w 2 kompanii 2 zapasowego pułku saperów, stacjonującej w Pawłosiewie pod Jarosławiem. Tym razem

już nie w parku, a w pałacu Lubomirskich. Podstawowe szkolenie - musztra, służba wartownicza, topografia, zasadzki, czujki, patrole rozpoznawcze, marsze itp., a także wożenie drewna z lasu i prace gospodarcze. Cały czas jeszcze w "cywilu". Wreszcie znów w towarzystwie najbliższych kolegów zostałem skierowany do szkoły podoficerskiej w Jarosławiu. Droga do szkoły wiodła przez polową łaźnię radziecką w wagonach kolejowych, gdzie w wagonie sanitarnym po całkowitym rozebraniu nastąpił przegląd po czym sanitariuszki radzieckie bardzo zręcznie i sprawnie strzygły i wygalały wszystkie owłosione części ciała, męskiego. Było to krępujące dla obu stron, ale poznać to można było tylko po nas i to tych najmłodszych przyszłych elewach szkoły podoficerskiej.

Otrzymaliśmy tam po raz pierwszy mundur polski, bardzo ładnie skrojony i z doskonałego drelichu. Wszyscy byliśmy bardzo wzruszeni. Po krótkim dopasowywaniu otrzymanej "garderoby" i przeglądaniu się w nielicznych lusterkach, zostaliśmy wprowadzeni za bramę szkoły podoficerskiej. Tu rozpoczął się okres intensywnego szkolenia niezależnie od pory dnia czy warunków atmosferycznych. Kadra podoficerska mojego 3 plutonu w skła - dzie 125 ludzi pod dowództwem sierżanta Zdebiaka wyróżniała się gorliwością i sumiennością w przekazywaniu wiedzy młodym adeptom sztuki saperkiej i dbałością o jej dogłębne opanowanie, szczególnie praktyczne na poligonie za miastem pociętym licznymi wązami i na Sanie.

Jednak ani pobyt w 2 zapasowym pułku saperów, ani nawet skierowanie do szkoły podoficerskiej saperów nie przesądzały jeszcze o dalszym moim losie. Zarówno tam jak i tu przyjeżdżali "kupcy" i co pewien czas zabierali grupy kandydatów do szkół oficerskich innych rodzajów wojsk. Tak więc do dnia 5.11.1944 r., to jest do alarmu ogłoszonego dla całego stanu osobowego szkoły o 5 rano, nie mogłem wiedzieć i nie przeczuwałem, że w tak istotny sposób zaważy on na moim życiu.

Już samo ogłoszenie alarmu w niedzielę o 5 rano było niezrozumiałe. O godzinie 5-tej mieliśmy pobudkę codziennie, a jedynie w niedzielę dawano nam możliwość dłuższego odpoczynku do godziny 6-tej. Nietypowy był także przebieg samego alarmu. Zwykle po alarmie dowódcy plutonów wyprowadzali plutony na pla-

ce ćwiczeń zgodnie z wcześniej ustalonym planem. Alarmy przebiegały bardzo sprawnie, czemu sprzyjały również zarówno warunki zakwaterowania, jak i wyposażenie osobiste.

Na olbrzymiej sali /prawdopodobnie widowiskowej/ stały dość gęsto prycze, zbite z desek, na których spaliśmy bez sienników czy materacy. Dla łatwego utrzymania porządku na sali, na pryczach nie było ani źdźbła słomy, nie posiadaliśmy też żadnych kocy ani prześcieradeł, a więc śłanie łóżek czy rolowanie kocy po alarmie odpadało. Również osobiste wyposażenie ułatwiało sprawne wychodzenie na zbiórki. Bielizna osobista była zmieniana tylko w czasie kąpieli, a tak służyła za dzieńną i nocną. Płaszcz - jedna poła była materacem, druga kocem, a jeden z rękawów poduszką. Najbardziej pracochłonne było sznurowanie trzewików, a prawdziwym utrapieniem były owijacze, wymagające nie lada wprawy w ich stosowaniu. Plecak - worek z ręcznikiem, kawałkiem mydła, szczotką do butów i menażką /własną, służbową jeszcze nie wydano/ uzupełniały nasz ekwipunek.

W czasie tego alarmu zbiórka przeciągała się, dochodzili dalsi dowódcy różnych szczebli, równano szyki, meldowano i tak staliśmy dalej. Po pewnym czasie wyszli ze sztabu przedstawiciele Komendy Szkoły, a w ich towarzystwie oficer radziecki w mundurze kapitana. Widzieliśmy go po raz pierwszy i na razie niczego nie podejrzewaliśmy. Po przyjęciu raportu przez najstarszego stopniem wystąpił do przodu jeden ze "sztabowców" z listami w ręce i ogłosił, że wyczytani mają wystąpić z szyku i ustawić się po drugiej stronie placu zbiórek. Następnie wolno i donośnym głosem z list trzymany w ręce zaczął wyczytywać nazwiska i imiona poszczególnych elewów. Przez szyk przebiegła wiadomość, że nowy "kupiec" zabierze większą partię elewów, nie wiadomo tylko dokąd i do jakiego rodzaju broni. Informacje ciągle się zmieniały i były sprzeczne. Dla mnie w tej chwili najważniejszą sprawą było pozostanie nadal razem z najbliższymi kolegami, obojętnie, po której stronie placu ziórki.

Wyczytywanie trwało, uważnie słuchałem, ale z wyczytanych kilkudziesięciu osób nie padło żadne znajome nazwisko. Nagle zakołatało mi w głowie, ugięły się pode mną nogi, na moment zapomniałem, gdzie się znajduję, pomogli mi koledzy wypy-

chając z szeregu, a dalej już bezwiednie pomaszerowałem na drugą stronę placu zbiórek, stając w nowym szyku wśród nieznanych towarzyszy broni. Zacząłem z jeszcze większą uwagą wsłuchiwać się w wyczytywane nazwiska.

Po wyczytaniu dalszych kilkudziesięciu nazwisk nasza strona placu zbiórki stale zapełniała się, a ja pozostawałem nadal "sam". Drżałem na myśl, że lista wyczytywanych może się skończyć. Moja niepewność nie trwała na szczęście zbyt długo. Kiedy nasza gromadka wyczytanych zbliżała się do setki, zaczęły padać znajome mi nazwiska, a wśród nich najbliżsi dla mnie przyjaciele. Zrobiło mi się od razu raźniej, świat stał się piękniejszy, a poranny przymrozek mniej dawał się we znaki w bezczynności zbiórki.

Po wyczytaniu - jak się później okazało 120 nazwisk - pozostałym dano komendę - rozejść się do koszar, a jeśli chodzi o nas, to przystąpiono do wyrównywania szyku, odliczania, sprawdzania ilości żołnierzy, a następnie sprawdzania naszego wyposażenia.

Po zakończeniu wszystkich czynności porządkowo-sprawdzających, którym towarzyszył - nie biorąc czynnego udziału - kapitan radziecki, byliśmy już pewni, że jest to nowy "kupiec". Przedstawiciel szkoły wygłosił przemówienie, w którym podkreślił z naciskiem, że spotkał nas zaszczyt, zostaliśmy wyróżnieni, bowiem będziemy służyć w pięknym rodzaju wojsk. Nie dowiedzieliśmy się jednak ani po co nas wyczytano, ani gdzie mamy iść i po co, ani też dlaczego to nas "wyróżniono". Po zakończeniu przemówienia zwrócił się do kapitana radzieckiego przekazując mu listę z naszymi nazwiskami, pogratulował mu tak świetnych żołnierzy, jakich otrzymuje, "najlepszych" jak się wyraził elewów, jakich szkoła posiadała. Opinie te były dla nas, a jak nam się wydawało i dla kapitana radzieckiego obojętne. Przedstawiciel szkoły dodał jeszcze, że od tej chwili naszym przełożonym jest kapitan radziecki /którego nazwiska dzisiaj już nie pamiętam/, i w związku z tym mamy słuchać wszystkich jego rozkazów. Kapitan radziecki po przyjęciu listy z naszymi nazwiskami zwrócił się do nas i wydając rozkaz w języku rosyjskim objął nad nami komendę.

Nastąpiło ponowne wyczytywanie nazwisk z listy i wy-

stępowanie. Tym razem sprawdzenia dokonywał nasz nowy dowódca, który na zakończenie przeliczył nas, a gdy wszystko się zgadzało, najwyższych wzrostem i wyglądającego najpoważniej wiekiem wyznaczył na swojego zastępcę, o czym nas wszystkich powiadomił, każąc jednocześnie swojemu zastępcy, a naszemu koledze objąć nad nami komendę i wyprowadzić za bramę, sam zaś ruszył przodem. Wraz z zamknięciem bramy szkoły został zamknięty, krótki, ale jakże istotny okres mojego życia w mundurze. Najbardziej przykre było to, że koledzy którzy pozostali w szkole, żegnali nas machając menażkami w drodze do kuchni. My w nieznane rozpoczynaliśmy marsz na czczo.

Opuszczałem mury szkoły bez żalu czy sentymentu. Znalazłem się tu po raz pierwszy w życiu, z dala od matki i najbliższych, metody wychowawcze stosowane w szkole przez moich dowódców - podoficerów /dca drużyny, zca dcy drużyny, dca plutonu, szef kompanii/ sprzyjały wysokiej dyscyplinie, z jaką nigdy więcej i nigdzie się nie spotkałem. Stosowano tu dyscyplinę świadomą w nieskażonej postaci, wolną od wszelkich dowolnych interpretacji zrozumiałą dla wszystkich. Niczego dwa razy nie powtarzano, to co zostało raz przekazane do naszej wiadomości, podlegało pełnej znajomości i przestrzeganiu. Wszelkie odstępstwa od tej zasady były zwalczane z całą stanowczością, wszelkimi skutecznymi metodami. Stosowano zasadę - "wszyscy odpowiadają za jednego, a jeden za wszystkich".

Idąc ulicami Jarosławia snuliśmy różne domysły, dokąd i po co nas prowadzi nasz nowy opiekun. Nie był on zbyt rozmowny i nie wypowiadał ani jednego zbędnego słowa. Szedł przodem w takiej odległości, która uniemożliwiała zaspokojenie naszej ciekawości poprzez nawiązanie rozmowy. Zaczęliśmy zgadywać, jaki rodzaj broni nasz nowy opiekun reprezentuje. Czarne wypustki z czerwonymi obwódkami na kołnierzu oraz złoto-czarne naramienniki niczego nam nie wyjaśniały. Jedni twierdzili, że to czołgista, inni - że saper, a jeszcze inni, że to jakaś nowa mało znana broń, ponieważ oficerów z takimi oznakami broni spotyka się bardzo mało. W naszych rozmyślaniach opuściliśmy Jarosław i maszerowaliśmy na zachód - na razie w nieznane.

Po kilku godzinach marszu, w czasie ładnej, słonecznej i ciepłej pogody doszliśmy do Przeworska, do stacji kolejowej, gdzie nastąpiła przerwa w podróży.

Ciekawość dotycząca naszego dalszego losu coraz mocniej była tłumiona przez pusty żołądek. Co prawda, głód został nieco złagodzony informacjami naszego opiekuna, że lada moment otrzymamy posiłek i - co było niemniej ważne, że dalszą podróż odbędziemy pociągiem bez określenia kierunku i celu. Godziny mijały, a żadna z podanych wcześniej informacji nie sprawdzała się. Byliśmy nadal na czczo, a pociągu też nie było widać. Nasz opiekun od czasu do czasu opuszczał nas udając się do telefonu kolejowego - podobno interweniował w sprawie posiłku. Po powrocie obiecywał, że lada moment nadjadą z kuchnią. Widząc, że oczekiwanie się przedłuża, zaczął być bardziej rozmowny, nawet zdradził nam w sekrecie, że jesteśmy wybrańcami losu, jedziemy do wspaniałej jednostki inżynierskiej, która zajmuje się budową różnych mostów i po przeszkoleniu, a następnie po bardziej gruntownej "praktyce" będziemy prawie inżynierami, tyle tylko, że bez dyplomów. Nie dowiedzieliśmy się ani nazwy jednostki, ani miejsca postoju, ani celu naszej podróży. Dyskusja, jaka rozgorzała po powyższych informacjach, pozwoliła na pewien czas zapomnieć o głodzie. Zaraz po południu przyjechał samo - chód ciężarowy, ale bez kuchni. Dysponent wypytywał o żołnie - rzy jadących do Lublina, nie mogliśmy udzielić twierdzącej informacji, ale okazało się, że to był samochód, na który czekamy. Wydano nam "świnną tuszonkę" na trzech i po sporej garści czarnych i twardych sucharów, zaznaczając, że jest to prowiant na całą dobę, to znaczy do następnego obiadu włącznie. Nasza interwencja o dzisiejsze śniadanie nie odniosła skutku.

Po marszu na świeżym powietrzu i wyczekiwaniu "świnna tuszonka" okazała się jeszcze lepsza jak była w rzeczywistości. Była to mielona wieprzowina z przyprawami, dobra w smaku o wadze chyba 0,8 kg z napisami w języku angielskim i w języku rosyjskim "świnna tuszonka". Z podziałem zawartości na trzy porcje były kłopoty, a podział na trzy posiłki w ogóle nie wyszedł. Oczekując na pociąg powiększyłem pierwszy posiłek kosztem dwóch pozostałych, aż w końcu nie było co zostawić poza kilkoma sucharami w kieszeni.

Pod wieczór nadjechał pociąg towarowy, w którego składzie były trzy platformy z klanrami do budowy mostów. Załadowano nas po 40 na platformę, a od sierżanta, który przywiózł

żywność, dowiedzieliśmy się, że jedziemy w kierunku Lublina. Pociąg ruszył. Zapadała noc, a wraz z nią nadciągał kilkustopniowy przymrozek, nasza sytuacja pogarszała się z godziny na godzinę i nie byliśmy w stanie jej zmienić, wszystkie klamry były jednakowo zimne i oszronione. "Zimna sytuacja" została nieco złagodzona posiadanymi jeszcze przez większość ciuchami cywilnymi, z których w koszarach korzystać nie wolno było. Ja wraz z moim najbliższym przyjacielem Wackiem, wykorzystaliśmy do wspólnego okrycia jego koc i moją marynarkę. W ten oto sposób wczesnym rankiem 6.11.1944 r. dojechaliśmy do Lublina. Nasz opiekun oświadczył nam, że do godziny 12-tej w południe będziemy stali w Lublinie, wobec tego jeżeli ktoś jest głodny i ma pieniądze, to po zwolnieniu u jego zastępcy może udać się do miasta po zakupy. Ani ja ani też Wacek pieniędzy nie mieliśmy postanowiliśmy więc coś sprzedać. Po wnikliwej analizie sytuacji udaliśmy się na bazar i spieniężyliśmy tam moją marynarkę. Zaraz kupiliśmy po dużym bochnie wiejskiego chleba i po półlitrowej butelce śmietany. Głód został zaspokojony, i pozostał nam jeszcze spory zapas chleba. Obeszliśmy Lublin i na 12-tą ściągnęliśmy na dworzec.

Zapowiadany na 12-tą odjazd nie nastąpił, wyruszyliśmy w dalszą drogę na tych samych klamrach dopiero o zmierzchu.

Z Lublina zostaliśmy przewiezieni do Lubartowa i stamtąd pieszo doszliśmy do wsi Luszawa nad Wieprzem.

Zjawiono się tu jeszcze kilku oficerów i zaczęto dokonywać podziału organizacyjnego na plutony i drużyny, a te z kolei rozdzielano do poszczególnych zagród wiejskich. Moja drużyna, w której znaleźli się najbliżsi koledzy, otrzymała lokum w chacie położonej na uboczu wioski tuż nad samym Wieprzem, co miało dobre i złe strony.

W dniu 7.11.1944 r. oznajmiono nam, że trafiliśmy do 3 Zmechanizowanej Brygady Pontonowo-Mostowej na kurs pontonierski i budowy mostów i jest to dalszy ciąg szkoły podoficerskiej. Po tym wprowadzeniu przystąpiliśmy do szkolenia. Zaprowadzono nas nad brzeg rzeki Wieprz, gdzie zobaczyliśmy duże, drewniane, pokryte smołą prostokątne pudła, które nazywały się półpontonami parku DMP-42, każdy o wadze 1200 kg. Buduje się z nich promy przewozowe lub człony mostowe.

Dla szybszego wprowadzenia nas w arkana sztuki pontonierskiej wprowadzono każdego dnia zamiast gimnastyki porannej godzinne wiosłowanie na półpontonach po Wieprzu. Na początku nauki zdarzało się, że po odbiciu od brzegu, chwyceni przez silny prąd pomimo rozpaczliwych wysiłków dobijaliśmy do brzegu dalej o kilkaset metrów, a nawet kilka kilometrów w dół rzeki, po czym za pomocą liny holowaliśmy naszą arkę, głodni i zziębnięci, kilka godzin do przystani. Ćwiczyliśmy intensywnie zarówno w dzień, jak i w nocy. Nabyliśmy praktycznej umiejętności musztry pontonierskiej oraz budowy wszystkich możliwych typów promów i członów mostowych oraz montażu mostów. Występowaliśmy nie tylko w roli wykonawców, ale po przeszkoleniu również jako instruktorzy i dowódcy drużyn. Ta ostatnia funkcja, szczególnie dla mnie, nie była wcale łatwa.

Pomimo dużego wysiłku fizycznego w czasie szkolenia, mieliśmy tutaj znacznie więcej swobody, a nawet i czasu na wypoczynek. Natomiast znacznie gorsze niż w Jarosławiu było wyżywienie. Tu się nie zdarzało, ażeby w zupie /tylko z nazwy/ można było spotkać poza wodą i ewentualnie ówiartką kartofla, bądź kilkoma krupami cokolwiek innego. Również drugie danie najczęściej składało się z łyżki kartofli w stanie ciekłym z niewielkim skwarkiem trudnego do zgryzienia kawałka ochłapa. Chleb przynoszono w pelerynach i dzielono deklek od menażki. Wspominaliśmy dobrą kuchnię w Jarosławiu, gdzie i w zupie, i drugim daniu można było spotkać "świnną tuszonkę", bądź inny jadalny kawałek mięsa. Po posiłki do kuchni oddalonej od naszej kwatery ponad kilometr chodziło dwóch kolegów na zmianę, reszta w tym czasie odpoczywała. Dla wzbogacenia naszych posiłków, szczególnie śniadań postanowiliśmy wygospodarować "zbędne" kawałki mydła i flaneli przeznaczonej na onuce i wymienić je na kartofle. Możliwości tego rodzaju wymiany szybko się wyczerpały, wówczas starsi wiekiem i bardziej doświadczeni życiowo koledzy pożyczili od naszego gospodarza kosz i wieczorem wychodzili na wieś "na zakupy". Z zakupów z kartoflami wracali zawsze bardzo późno, kiedy koledzy pozostali na kwaterze już spali. Za co kupowali nasi zaopatrzeniowcy kartofle pozostało ich tajemnicą. Dla przygotowania i ugotowania kartofli na śniadanie musieliśmy czynić różne zabiegi, ażeby mieć codziennie

jednego zwolnionego z gimnastyki, a ściślej z godzinnego wiosłowania, z reguły jakoś nam się to udawało. Kiedy wracaliśmy z wiosłowania, do galop-zupki, każdy otrzymywał po kilka gorących kartofli, ich wartość wówczas trudno porównywać dziś z czymkolwiek.

Szkolenie przebiegało sprawnie, od czynności prostych przechodziliśmy do bardziej złożonych. Kłopot mieliśmy z budową mostu, ponieważ nie było ani jednego kutra. Brak kutrów rozwiązywaliśmy w ten sposób, że gotowe człony mostowe holowaliśmy na linach i wiosłach w górę rzeki od osi mostu, następnie na pontonach wywoziliśmy kotwice na środek rzeki i tak zakotwiony człon opuszczaliśmy w dół rzeki w oś mostu. Zdarzyło się raz, że liny nie wytrzymały naporu wody /w pontonach nie było dziobów założonych/ i pękły, człon z dużym impetem uderzył w już zmontowany odcinek mostu, przy dużym huku i trzasku. Na szczęście ani ludziom nic się nie stało /poza kąpielą kilku osób w zimnej wodzie/, ani też sprzęt nie uległ poważniejszemu uszkodzeniu.

Pod koniec listopada nasze szkolenie na sprzęcie parku pontonowego DMP-42 dobiegło końca. Przyjechały trzy studebaczki, załadowano nas po 40 wraz z bronią i sprzętem osobistym na samochód i bez przystanku przewieziono do Orchówka k/Włodawy, gdzie odbyliśmy dalszą część kursu pontonierskiego na sprzęcie parku N2P na rzece Bug. Warunki szkoleniowe były tutaj znacznie lepsze. Korzystaliśmy z bazy szkoleniowej 31 zmotoryzowanego batalionu pontonowo-mostowego. Mieliśmy do dyspozycji place szkoleniowe i kutry. Sam sprzęt parku był metalowy i znacznie łatwiejszy i przyjemniejszy w użytkowaniu. Łatwiej było wiosłować na pontonach jak i budować promy i mosty. Praca przebiegała szybciej i sprawniej. Nie bez znaczenia był też fakt, że pontony nie brudziły naszych płaszczy i mundurów smołą, stopniowo doczyszczaliśmy nasze płaszcze i przestawaliśmy wyglądać jak smoluchy.

W Orchówku uczyliśmy się obróbki elementów mostów niskowodnych i budowy ich poszczególnych fragmentów. Co prawda, mieliśmy już pewne doświadczenie w tym zakresie z ćwiczeń z budowy mostów niskowodnych w Jarosławiu.

Kurs podoficerski dobiegł końca. Na zakończenie mieliśmy

wspólnie z 31 zmot. bat. pont. most. budować most niskowodny przez odnogę Bugu.

W ustalonym na budowę mostu dniu, kiedy opuszczaliśmy plac ćwiczeń i udawaliśmy się na kolację, nigdzie nie było widać żadnego materiału drzewnego. Raczej wykluczaliśmy transport podobny do stosowanego w Jarosławiu, gdzie cały potrzebny na budowę mostu niskowodnego przez San materiał drzewny nosiliśmy z lasu odległego o 8 km na plecach. Sądziliśmy, że z powodu braku drewna budowa mostu nie dojdzie do skutku. Nasze nadzieje na spokojną noc prysły szybko. Już w czasie kolacji ogłoszono alarm i pospiesznie po zabraniu sprzętu wyprowadzono nas nad Bug. Zaczęły tam podjeżdżać wprost z lasu samochody wyposażone dłużycą. Po rozładowaniu kilku samochodów wykorzystano je do oświetlania osi mostu i placów obróbki elementów mostowych. Budowę mostu prowadzono z dwóch brzegów - z jednej strony szkoła, to znaczy my, a z drugiej - batalion. Nasz brzeg na przestrzeni kilkudziesięciu metrów od lustra wody był bagnisty i porośnięty kępami wikliny, ale nam dowożono materiał, natomiast batalion miał brzeg dogodniejszy, bo suchszy, ale potrzebny materiał musiał przewozić przez rzekę pontonami, co wymagało sporego wysiłku.

Początkowo na bagno układaliśmy dyle z parku, ale kiedy nawet podwójne ich warstwy wsiąkały w błoto, a my nadal do połowy łydek brodziliśmy w grząskiej mazi, zaniechaliśmy tej praktyki, i słusznie, bo jak się później okazało, wyciągnięcie dyli z tej mazi nie było wcale łatwe. Musieliśmy w błocie zakładać stalowe liny na każdy dyl i za pomocą wyciągarek samochodowych wyciągać je z błota, ale to było następnego dnia. Budowa postępowała wolno, ale stale. Zespoły do bicia pali z "samolotu" za pomocą "baby" wymieniały się, choć "samolot" to w tamtych warunkach był jedynym miejscem, gdzie robota była bardzo "czysta", choć kilku wraz z "babą" wpadło do wody i wcale ich nie zwolniono z pracy, a jedynie pozwolono rozpalić ognisko dla ogrzania się. Sytuację pogarszał ciągle padający śnieg z deszczem, który przemoczył nas do nitki, zwiększył ciężar naszych ubrań o kilka kilogramów, zalepiał nam oczy i leciał za kołnierz, zalepiał również reflektory samochodów, co w sumie poważnie utrudniało pracę.

Budując most, mieliśmy jednocześnie zbudować dojazd przez bagno. W tym celu brodziliśmy po bagnie wycinając wiklinę i układając na bagnie na osi mostu warstwami na przemian z gliną donoszoną nosilkami. Praca trwała całą noc. Z nastaniem dnia prace zostały zakończone, most był gotów i samochód z naszego brzegu po moście przejechał na brzeg batalionu. Fakt ten był jednocześnie sygnałem zakończenia pracy.

Budowa mostu została oceniona przez dowódcę batalionu mjra Stanowskiego wysoko, a nasz kurs i zarazem nauka w szkole podoficerskiej dobiegały do końca. Na zakończenie przyjechali przedstawiciele brygady i został przeprowadzony egzamin teoretyczno-praktyczny.

Ogólnosaperską solidną podbudowę teoretyczną i praktyczną otrzymaliśmy w Jarosławiu, pontonierską i mostową - na kursie przy 3 Brygadzie, tak więc około 90% elewów zdało egzamin z wynikiem pozytywnym. Jeśli chodzi o mnie to zostałem dokładnie przeegzaminowany przez przedstawiciela brygady kapitana Boraka.

W dniu 10 grudnia nastąpiło oficjalne zakończenie nauki w szkole podoficerskiej i został odczytany rozkaz z awansowaniem nas do stopni podoficerskich i przydziałem do poszczególnych batalionów brygady. Ja zostałem mianowany kapralem i skierowany do 31 zmot. bat. pont. most. /czyli pozostawałem na miejscu w Orchówku/ do 3 kpont na stanowisko dowódcy drużyny pontonowej.

Los okazał się dla mnie łaskawy, ponieważ wraz ze mną pozostali w tym batalionie najbliżsi koledzy. Byłem najmłodszym żołnierzem batalionu. Tak więc nie z wyboru, a z "przeznaczenia" zostałem pontonierem, zresztą nigdy tego nie żałowałem, a pontonierom przez długie lata pozostałem wierny.

Z 31 zmotoryzowanym batalionem pontonowo-mostowym przeszedłem szlak bojowy związany z wyzwoleniem Warszawy, forsowaniem Odry i zakończony nad Hawelą w m. Parej, ale to już następny etap mojej kariery wojskowej, etap dojrzałego pontoniera.

3. PAMIETNA NOC NAD ODRA

Była zwykła frontowa noc. Wzdłuż Odry krzyżował się ogień. Na wschodnim, wyższym brzegu rzeki przyczały się czołgi czołowych związków taktycznych 2 Gwardyjskiej Armii Pancernej i 5 Armii Uderzeniowej. Wśród nich był polski 6 Zmotoryzowany Smodzielny Batalion Pontonowo-Mostowy. Po drugiej stronie Odry, niemal na przedpolach Berlina, wryły się w ziemię pancerne formacje "czarnej gwardii" Reichsführera SS Himmlera.

Trwał zwykły rytm frontowej nocy. Dyżurne środki ogniowe prowadziły ostrzał. Co kilka minut wraz rakiety oświetlały rzekę, która fascynowała seledynowym odblaskiem, przecinając niczym ognista wstęga czarny, wiosenno-blotnisty szmat bitewnego pola. Hitlerowcy byli czujni. Na zachodnim brzegu nie byli przecież sami. W rejonie Czelina został opanowany mały przyczółek, na którym trwali teraz jego obrońcy: żołnierze radzieccy i polscy.

Tak o tym mówi kronika wojenna 5 Armii Uderzeniowej:

"Armijny oddział wydzielony, wykonując zadanie uprzedzenia cofających się oddziałów niemieckich w dojeździe do Odry, rozpoczął forsowny marsz w kierunku rzeki. W odległości 15 km od Odry zabrakło mu materiałów pędnych, co zagroziło realizacji otrzymanego zadania. Dowódca oddziału wydzielonego nie mogąc kontynuować marszu całością sił, sformował doraźną grupę, której przekazano pozostałe jeszcze paliwo i wznowiono marsz w kierunku Odry. Dnia 31 stycznia grupa ta osiągnęła rzekę i w rejonie Kienitz, Rehfeld przeprowała się po łódzie /bez ciężkiego sprzętu/ na zachodni brzeg, gdzie od kilku godzin walczyły pododdziały piechoty 219 Brygady Pancernej 1 Korpusu Zmotoryzowanego Gwardii 2 Armii Pancernej Gwardii".

Tej właśnie armii był podporządkowany polski batalion. Na zaszczyt działania w czołówce wojsk nacierających w kierunku Berlina batalion dobrze sobie zasłużył.

Został uformowany na ziemi radzieckiej. W lecie 1944 przeszedł w rejonie Kijowa swój chrzest bojowy. W sierpniu 1944 forsował z jednostkami radzieckimi Wisłę, a nieco później przeprowała jednostki polskie na przyczółek warecko-magnuszewski. Koło miejscowości Holendry uczestniczył w budowie mostu przez

Wisłę. We wrześniu pozostawił ślady krwi na wiślanych plażach, spiesząc z pomocą bohaterskim warszawskim powstańcom. W październiku walczył w rejonie Pelcowizny.

W styczniu 1945 przeprowadził jednostki 1 Armii WP koło Nowego Dworu, a następnie ponownie został skierowany do Warszawy. Tu w dniach styczniowych przeprowadził wojska przez Wisłę i uczestniczył w budowie pierwszego mostu, po którym weszły wojska do wyzwolonej stolicy.

W początkach lutego 1945 roku był już nad Odrą.

I tam, razem z żołnierzami radzieckimi ponosił ofiary, tam przeciwstawiał się huraganom ognia, którym formacje SS usiłowały zdławić obrońców przyczółka czelińskiego.

Opanowanie i utrzymanie tego skrawka ziemi na zachodnim brzegu Odry, miało ogromne znaczenie polityczne, wojskowe i psychologiczne. Byliśmy u bram Berlina. A przecież wojska hitlerowskie były jeszcze w owym czasie w Estonii i w Prusach Wschodnich, utrzymywały Gdańsk, Gdynię i całe południowe wybrzeże Bałtyku, były na Bałkanach i we Włoszech, stały na rubieży Renu, posiadały 400-tysięczną armię w Norwegii i liczne siły w Belgii i Holandii...

Ale byliśmy świadomi zbliżającego się aczkolwiek trudnego końcowego etapu wojny. Byliśmy również świadomi faktu, że wróciliśmy na ziemię praojców naszych.

"Jak wielka musiała być ta świadomość narodowa i głęboki patriotyzm, jak wielka siła tradycji piastowskich - mówił w 23 lata później marszałek Żymierski podczas uroczystości odsłonięcia pamiątkowego obelisku w Czelinie, iż żołnierze ci, miast kopać ukrycia i schrony, za swój pierwszy obowiązek uważali potrzebę wbicia na odrzańskim brzegu pierwszego granicznego słupa powracającej na piastowskie ziemie naszej Ojczyzny".

Tam właśnie, w Czelinie, w toku ciężkich walk o utrzymanie przyczółka żołnierz polski wyznaczał fizycznie granice swej Ojczyzny. Dodajmy - te granice, o których w owym czasie debatowali sprzymierzeni w Jańcu, a później w Poczdamie.

27 lutego 1945 nad Odrą była noc jak inne.

Tej właśnie nocy mieliśmy wbić drugi koniec "klamry" spinający tysiącletnią historię walk o odrzańskie rubieże. Historia była wobec tego zdarzenia przychylna. Doszliśmy do Odry

nie opodał historycznej Cedyni, gdzie wojowie Mieszka I i Czcibora gromili germańskie hufce. Mieliśmy spełnić wolę naszego narodu, wyrażoną w Manifeście Lipcowym PKWN, który apelował: "Stawajcie do walki o wolność Polski, o powrót do matki - ojczyzny starego polskiego Pomorza i Śląska Opolskiego, o Prusy Wschodnie, o szeroki dostęp do morza, o polskie słupy graniczne na Odrze".

Byliśmy gotowi. Wszelkie przygotowania odbywały się w lesie rosnącym wzdłuż drogi Mieszkowice - Czelin. Słup graniczny został przez zastępcę dowódcy do spraw politycznych 2 kompanii chorążego Stefana Kobka - z zawodu mistrza malarskiego - farbowo pomalowany w biało-czerwone pasy.

- Tylko pień wybierz suchy i bez sęków, żeby dobrze farbę chwycił! - upominał mnie uprzednio. Zastępca dowódcy do spraw politycznych 3 kompanii ppor. Władysław Cieślak zajął się przygotowaniem odpowiedniego dokumentu, uwieczniającego ten fakt.

"Nasz Oddział - głosił m.in. ów dokument - jako pierwszy oddział Wojska Polskiego dotarł do zachodnich rubieży Rzeczypospolitej. Ku wiecznej rzeczy pamiętce wbił graniczny słup na starej rzece - Odrze. Dla upamiętnienia tej historycznej chwili, do której tak długo dążyliśmy, składamy uroczyste swoje własnoręczne podpisy".

Dojście do Odry było już faktem dokonany. Przywiodły nas różne drogi. Cieślak i Kobek byli żołnierzami Września. Cieślaka droga nad Odrę wiodła przez ziemię radziecką, dokąd uciekł z niemieckiej niewoli, zaś Kobka - przez Bałkany, gdzie walczył tam dwa lata w szeregach jugosłowiańskiej armii wyzwolitej. Jesienią 1944 roku powrócił do Polski i poprosił o skierowanie do jednostki frontowej.

Moja droga wiodła również przez ziemię radziecką. Byłem radzieckim partyzantem i żołnierzem.

Podobny był szlak wielu naszych kolegów. Zbyszek Konopiński przyszedł z barykad powstańczej Warszawy. Dominik Korzeniowski z lubelskich oddziałów partyzanckich, Broniek Całkowski z szeregów Armii Radzieckiej. Do Odry doszedł też Stanisław Chermus, którego żołnierskie szczątki trzykrotnie w ciągu jednej nocy wyrzucane były z polowej mogiły przez wybuchy bomb i pocisków.

Doszedł również kapral z Wołynia Adolf Wydrzyński. Cieszył się z tego, że blisko już do Berlina i będzie można powrócić do stolarskiego warsztatu. Nie powrócił - został nad Odrą. Takich było wielu. Ten pierwszy słup graniczny stawialiśmy w imieniu nas wszystkich.

Z lasu - gdzie były urządzone nasze ziemianki - dojechaliśmy do Czelina samochodem. Było nas 6-ciu: dwóch oficerów - ppor. Władysław Cieślak i chorąży Stefan Kobek; dwóch podoficerów: plutonowy Zenon Janicki i autor tego wspomnienia /byłem wówczas plutonowym/, oraz dwóch saperów, których nazwisk nie pamiętam.

Pozostały w pamięci jedynie słowa chorążego Kobka, który mówił:

- Wybierzemy nieżonatych, może być różnie.

Milcząc ale z ogromnym podnieceniem dojechaliśmy do osady Czelin. Nisko w dolinie płynęła Odra. Tu hitlerowcy często oświetlali rzekę. Oczekiwali rozpoczęcia przeprawy.

Chwilę wsłuchiwalismy się w odgłosy frontu. Wieczorem wróciliśmy z przyczółka. Odczekaliśmy na kolejny odruch ogniowej aktywności. Moment był dogodny. Dźwignęliśmy słup i narzędzie do kopania oraz wieńce z iglastych gałęzi i zesłych liści dębowych. Ostrożnie schodziliśmy wśród ruin osady ku Odrze. Wszędzie kawałki ścian, porwane druty ogrodzenia, potłuczone szkło, leje po wybuchach.

Podeszliśmy blisko rzeki. Zaskłaniały nas nadodrzańskie wierzby. Tu! - zdecydowano.

Z maksymalną ostrożnością rozpoczęliśmy na zmianę drażyć dół łomem. Ukruszoną ziemię wybieraliśmy saperską łopatą. Chyba już metr głębokości. Dość.

Ustawiamy słup. Do słupa przywiązujemy butelkę z dokumentem. A więc to jest naszej Ojczyzny zachodnia granica! A przed nami jeszcze kawał drogi. Ale pójdziemy. Tak długo - jak długo będziemy żywi, by - jak mówi końcowa deklaracja dokumentu."... pomścić krew swych towarzyszy broni. Nie rzucim ziemi skąd nasz ród. Tak nam dopomóż Bóg".

Teraz już nieco spieszniej obsypujemy ziemię i ubijamy nogami. Nikt nic nie mówi. Zawieszamy wieńiec. Kilka chwil bez ruchu. Nie wiemy co czynić. Bez słowa odchodzimy kilka kroków.

Ktoś salutuje. Inny zdjął żołnierską czapkę z piastowskim or-
łem. Ktoś ukradkiem wyciera oczy.

Jest noc z 27 na 28 lutego 1945 roku. W poéwiacie fron-
towej nocy widomy symbol naszej Ojczyzny. Wróciliśmy. Na słu-
pie tablica z piastowskim orłem i napis POLSKA. Niżej dwa wska-
źniki. Jeden z napisem WARSZAWA 472 km, drugi z napisem BERLIN
64 km.

IV. NA ŁUŻYCKIM SZLAKU

A. Początek żołnierskiej drogi

Wychowałem się na Wołyniu, który podczas drugiej wojny światowej, począwszy od 1939 r., był terenem intensywnych zmagania regularnych armii walczących stron, jak też działań partyzantki radzieckiej, 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK oraz oddziałów samoobrony ludności polskiej, walczącej z bandami ukraińskich nacjonalistów spod znaku Bandery, Bulby i innych prowodyrów.

W okresie okupacji niemieckiej dla uchronienia się przed wywiezieniem na roboty do Niemiec pracowałem na kolei w charakterze robotnika. W 1944 r., po wkroczeniu na Wołyń Armii Radzieckiej, nie zostałem skierowany do wojska, lecz nadal musiałem pracować na kolei, ponieważ Niemcy wycofując się z tych terenów w poważnym stopniu zniszczyli tory kolejowe. Z pracy tej nie byłem zadowolony, ponieważ większość moich kolegów została zmobilizowana i wcielona do Wojska Polskiego, a ja byłem z dala od toczących się wówczas walk o wyzwolenie kraju.

Nie trwało to długo, bowiem już na początku sierpnia po uzyskaniu zgody od władz kolejowych zgłosiłem się wraz z kilkoma kolegami do Rejonowego Komisarjatu Wojskowego /RKW/ z prośbą o wcielenie do Wojska Polskiego. Komendant RKW początkowo nie chciał uwzględnić naszej prośby, mówiąc że wojna niedługo się zakończy, żołnierzy na froncie jest dużo, a my potrzebni jesteśmy do pracy na zapleczu. Oczywiście argumenty te nie przekonywały nas i w ciągu trzech dni ponawialiśmy naszą prośbę. W końcu Komendant RKW zgodził się i skierował nas na punkt zborny w Rożyszczach nad Styrem.

Na punkcie tym zgrupowanych było kilkaset mężczyzn w różnym wieku - począwszy od 17 do 50 lat włącznie. Oczekiwali oni na transport kolejowy, którym mieli być odwiezieni do 1 zapasowego pułku piechoty rozmieszczonego w tym czasie w rejonie Żytomierza. Oczekiwanie na transport kolejowy trwało dość długo. Po ośmiu dniach nadszedł wreszcie pociąg, którym zostaliśmy przywiezieni do 1 zapasowego pułku piechoty.

Grupa, w której przybyłem do pułku, na drugi dzień została skierowana na komisję lekarską, składającą się prawie z sa-

mych radzieckich kobiet. Fakt ten niewątpliwie wpłynął na to , że część poborowych w stroju "adamowym" - przeważnie w młodym wieku - wstydziła się stawać przed oblicze takiej komisji. Muszę jednak zaznaczyć, że kobiety reagowały dość stanowczo i ci nawet najbardziej wstydliwi też musieli przejść badania lekarskie.

Miałem 22 lata, byłem zdrowy, zostałem więc do wojska przyjęty bez żadnych zastrzeżeń i przydzielony do oficerskiej szkoły piechoty w Riazaniu. Do Riazania jednak nie pojechałem, ponieważ w tym czasie przyszło prawdopodobnie zarządzenie, aby kandydatów do szkół oficerskich kierować do Lublina, gdyż w najbliższym czasie zostanie tam zorganizowana oficerska szkoła piechoty.

Zgodnie z nowym zarządzeniem w dniu 28 sierpnia wymaszerowaliśmy z rejonu dyslokacji 1 pułku zapasowego i załadowani na transport kolejowy. Transport nasz do Lublina jechał po trasie: Żytomierz, Szepietówka, Równe, Kiwerce, Kowel, Luboml. Z nieznanых powodów zamiast do Lublina, transport nasz przybył do Łęczna.

Po wyładowaniu transportu zostaliśmy zakwaterowani w okolicznych wsiach, otrzymaliśmy mundury - i od tej chwili stałem się żołnierzem ludowego Wojska Polskiego. Przystąpiono następnie do szkolenia: uczono nas oddawania honorów, chodzenia krokiem wojskowym pojedynczo i w zwartym szeregu oraz przeprowadzono zajęcia polityczne. Natomiast nie podano nam terminu wyjazdu do oficerskiej szkoły w Lublinie.

17 lub 18 września w kompanii naszej i w innych kompaniach 1 zapasowego pułku piechoty zarządzono alarm, przy czym polecono, abyśmy zabrali ze sobą wszystkie własne przedmioty. Po zbiórce i sprawdzeniu zajmowanych kwater szybko odmaszerowaliśmy do Łęczna.

W Łęcznie, powiadomiono nas, że zostaliśmy skierowani do 4 brygady saperów, która organizuje się w rejonie m. Firlej. Do Firleja maszerowaliśmy trzy dni. Marsz odbył się dość sprawnie, ponieważ dopisywała pogoda. Po przybyciu do m. Firlej, na zbiórce zgrupowanych oddziałów przemówił dowódca 4 brygady saperów, płk A. Swadkowski. Zwrócił on szczególną uwagę na rolę wojsk inżynieryjno-saperskich na polu walki, ich odpowiedzial-

na i ciężką pracę oraz życzył nam pomyślności w służbie dla
dobra ojczyzny.

Po zakończeniu przemówienia oznajmił, że potrzebuje 90 lu-
dzi młodych i odważnych do kompanii zwiadu brygady. Byłem jed-
nym z pierwszych ochotników i zostałem przyjęty. Nie żałowałem
tego, bowiem okazało się, że kompania zwiadu została zakwate-
rowana w m. Firlej, natomiast bataliony brygady saperów zosta-
ły rozmieszczone w przyległych lasach, gdzie warunki bytowania
były nie najlepsze. Nasze zaś kwatery jak na warunki wojenne
były bardzo dobre. Już od 24 września po zakończeniu wstępnych
prac organizacyjnych, a przede wszystkim urzędzeniu rejonu
zakwaterowania, przystąpiono do szkolenia kompanii w umiejęt-
nym wykonywaniu stojących przed nią zadań. Uczono nas wiosło-
wać na pobliskim jeziorze, poruszać się w terenie w nocy za
pomocą kompasu, rozpoznawać przeszkody wodne, mosty, drogi oraz
walczyć wręcz.

W pierwszych dniach listopada 1944 r. 4 brygada saperów
została przegrupowana do nowego rejonu dyslokacji wyznaczonego
w rejonie Łukowa. W nowym rejonie bataliony saperów zostały
rozmieszczone w lesie koło wsi Duża Brzozowica. Natomiast kompa-
nię zwiadu i kompanię administracyjną zakwaterowano w samej
wsi Duża Brzozowica.

W kilka dni po zajęciu kwater w Dużej Brzozowicy zosta-
łem wraz z kilkoma kolegami skierowany do batalionu saperów.
Otrzymałem przydział do 1 kompanii 30 sibsap, w kompanii zaś
zostałem wcielony do 1 plutonu, który według ówczesnej organi-
zacji był plutonem zwiadu batalionu.

Warunki zakwaterowania 30 sibsap na nowym miejscu dyslo-
kacji były bardzo prymitywne, mieszkaliśmy początkowo w szała-
sach, zbudowanych z gałęzi sosnowych i świerkowych, a następ-
nie w wybudowanych przez nas ziemiankach. Nic więc dziwnego, że
po pewnym czasie pojawiły się insekty, które niewątpliwie przy-
czyniły się do roznoszenia świerzbu. Walkę z tymi dwoma plaga-
mi prowadzono bez przerwy różnymi sposobami, indywidualnie i
zespołowo, uzyskując czasem pomyślne rezultaty. Natomiast na
słabe wyżywienie, które wówczas otrzymywaliśmy, nie było rece-
pty.

Podstawowym wyżywieniem w tym okresie był chleb nie zaw-

sze dobrej jakości oraz z zasady krupnik z kaszy owsianej z olejem. Tłuszczu zwierzęcego otrzymywaliśmy bardzo niewielkie ilości. Mała kaloryczność otrzymywanego pożywienia, prymitywne warunki zakwaterowania oraz dość znaczny wysiłek podczas różnych ćwiczeń sprawiały, że bardzo często dokuczał nam głód.

Morale żołnierzy pomimo trudnych warunków było wysokie. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że wyzwolony spod panowania okupanta skrawek naszej Ojczyzny był zniszczony, pozbawiony jakichkolwiek zapasów żywnościowych i nie jest w stanie zapewnić nam wyżywienia na wysokim poziomie.

Pomimo wyżej wymienionych trudności, po urządzeniu rejonu zakwaterowania rozpoczął się okres intensywnego szkolenia, podczas którego zapoznawano nas z minami będącymi wówczas w uzbrojeniu wojsk naszych i nieprzyjaciela. Uczono nas także ustawiać miny przeciwpiechotne i przeciwpancerne, budować drogi i mosty oraz różne schrony i ukrycia. Ten okres szkolenia został zakończony w końcu grudnia egzaminem przed komisją wyznaczoną przez dowódcę batalionu.

Opanowanie przerobionego materiału przez poszczególnych saperów nie było jednakowe. Wpływał na to zróżnicowany poziom wykształcenia i wiek poszczególnych saperów. Większość stanu osobowego batalionu miała ukończone zaledwie cztery klasy szkoły podstawowej, a byli i tacy, którzy w ogóle nie umieli pisać i czytać. W tej sytuacji przyswojenie przede wszystkim teoretycznych wiadomości z zakresu danych taktyczno-technicznych min i innych środków minerskich odbywało się nierównomiernie i napotykało na duże trudności. Lepiej już przedstawiało się praktyczne wykonywanie zadań. Na egzaminie w porównaniu z innymi wypadłem bardzo dobrze. Otrzymałem pochwałę od dowódcy batalionu i zostałem wyznaczony na dowódcę drużyny.

Po zakończeniu egzaminu, 30 sibsap w dalszym ciągu szkolili się intensywnie, skupiając główną uwagę na specjalizacji. Pierwsza kompania szkolili się jako kompania minerska, a pierwszy pluton - oprócz normalnie przerabianych tematów - szkolony był również w prowadzeniu rozpoznania inżynierskiego.

Podczas zajęć praktycznych duży nacisk kładziono na zaradność sapera, aby w każdej sytuacji bojowej - wykorzystując sprzęt i podręczne materiały - mógł wykonywać stawiane przed

nim zadania, nawet w najtrudniejszych warunkach terenowych i atmosferycznych. Dlatego też dużo ćwiczeń przeprowadzano w nocy. Podczas ćwiczeń ustawialiśmy miny w śniegu i w zamrażniętej ziemi, minowaliśmy drogi oraz budowaliśmy mosty i przepusty. Organizowano nam noclegi w lesie, z dala od miejsca zakwaterowania, podczas których każda drużyna musiała wybudować sobie szałas i przygotować go do spania. Spaliśmy kilka godzin, oczywiście bez palenia ognisk, a była to przecież już zima.

Styczeń 1945 r. był ostatnim miesiącem normalnego szkolenia 30 sibsap. W drugiej połowie miesiąca, podczas szkolenia szczególną uwagę zwracano na znajomość posiadanej broni, umiejętność posługiwania się granatami, maską przeciwgazową, samokopywania się, a także budowy schronów i ukryć różnego typu.

W styczniu rozpoczęły się nowe potężne uderzenia Armii Radzieckiej zmierzające do ostatecznego rozgromienia Niemców hitlerowskich. Dlatego też oczekiwaliśmy z niecierpliwością daty wyruszenia na front. Nastąpiło to 28 stycznia 1945 r.

B. Droga na front

Droga na front 4 brygady saperów, a wraz z nią i 30 sibsap wiodła przez Warszawę, Bydgoszcz, Krzyż, Wrocław nad Nysę Łużycką.

Podczas marszu 30 sibsap wykonywał różne zadania bojowe związane z rozminowaniem Warszawy, budową i utrzymaniem dróg i mostów oraz przygotowaniem środków przeprawowych niezbędnych do forsowania rz. Nysa Łużycka. Prowadził też walki w lasach z pozostałymi grupami nieprzyjaciela. W czasie marszu na front największym wzruszeniem był dla mnie moment wkroczenia do Warszawy. Warszawę znałem jedynie z opowiadań i zdjęć. Wiedziałem, że jest piękna. To co zobaczyłem, nie dało się wprost opisać, zamiast pięknych kamienic i ulic zobaczyłem wielkie cmentarzyko spalonych i zburzonych domów, naszpikowanych w dodatku wszelkiego rodzaju minami. Piękne niegdyś ulice były poprzegradzane barykadami z okresu powstania, na niektórych jeszcze leżały trupy ludności cywilnej i powstańców. Ale Warszawa już żyła. Wypędzeni przez Niemców warszawiacy tłumnie wracali z ocalałym dobytkiem i na gruzach rozpoczynali nowe życie. Przybyła ludność natychmiast przystępowała do odgruzowywania zawa-

lonych domów i przystosowywała je do własnego użytku. Rozwijał się już nawet handel uliczny.

30 sibsap do Warszawy wkroczył 1 lutego 1945 r. i został zakwaterowany w ocalałych koszarach szwoleżerów przy ulicy Podchorążych i tam w dniu 3 lutego otrzymał pierwsze zadanie bojowe związane z rozminowaniem Warszawy. W dniach od 3 do 7 lutego oczyszczaliśmy z min ocalałe budynki przy ulicy Belwe - derskiej i w Alejach Jeruzolimskich. Na każdym sprawdzonym domu pisaliśmy: "Sprawdzono min nie ma". Napisy te można zobaczyć jeszcze dziś na starych domach, chociaż od tego czasu upłynęło już 30 lat.

Po kilku dniach pracy na ulicy Belwederskiej i w Alejach Jeruzolimskich 1 kompania 30 sibsap otrzymała zadanie rozminowania Wybrzeża Kościuszkowskiego pomiędzy mostem Poniatowskiego a mostem Kierbedzia /obecnie Śląsko-Dąbrowski/.

W pamiętnych dniach lutego 1945 roku Wybrzeże Kościuszkowskie było zryte transejami i rowami łącznikowymi, nasycone minami, przeważnie przeciwpiechotnymi różnych typów, oraz zaporami z drutu kolczastego. Rozminowanie i usuwanie min w tym rejonie było bardzo utrudnione i niebezpieczne, ponieważ część min ustawiona w jesieni znajdowała się w zamrożonej ziemi.

Uwzględniając istniejące trudności w rozminowaniu tego obszaru, dowództwo zdecydowało na razie nie rozminowywać tego rejonu. W związku z tym pierwsza kompania 30 sibsap otrzymała nowe zadania związane z rozpoznaniem i rozminowaniem wałów nadwiślańskich na odcinku: Czerniaków - Góra Kalwaria. Na wymie - nionym odcinku miny ustawione były z zasady tylko w rejonach najdogodniejszych do urządzenia przepraw. Na pozostałych odcinkach terenu nie było min. Nie pamiętam, ile min zdjęto na tym odcinku siłami pierwszej kompanii. Ja sam unieszkodliwiłem 20 szt. min.

20 lutego 1945 r. 4 Brygada otrzymała zadanie przegrupować się do rejonu Gorzów Wlkp., Krzyż po drodze: Sochaczew, Gąbin, Koło, Bydgoszcz. Początkowo marsz odbywał się w bardzo trudnych warunkach atmosferycznych. Wiał silny wiatr i padał mokry śnieg. Marsz w tych warunkach był bardzo uciążliwy, zwłaszcza dla saperów w starszym wieku liczących około 50 lat. To też po przejściu 40-45 km w ciągu dnia byli oni tak zmęczeni ,

że często po dojściu do rejonu odpoczynku nie mogli na skutek poobcieranych nóg pójść na kolację do kuchni oddalonej o 200-300 m od zajmowanych kwater. Oczywiście w takich wypadkach kolację przynosili im młodszy koledzy.

Przy przechodzeniu przez miasta i większe miejscowości w celu podniesienia na duchu maszerujących wojsk ustawiano orkiestrę wojskową, która grała marsze wojskowe. Muszę przyznać, że metoda ta zdała egzamin. Przy dźwiękach marsza nawet najbardziej zmęczony żołnierz maszerował raźniej i nie odczuwał zmęczenia. Ponadto byliśmy w czasie marszu stale informowani o sukcesach na froncie odnoszonych przez 1 Armię Wojska Polskiego i Armię Radziecką, co również wpływało na podtrzymanie ducha. Po dłuższym odpoczynku w Bydgoszczy 30 sibsap 16 marca ześrodkował się w Grodzku. W tym czasie zgodnie z rozkazem dowódcy 1 Frontu Białoruskiego 2 AWP przeszła do dyspozycji 1 Frontu Ukraińskiego z zadaniem wzięcia udziału w walkach o Wrocław. W związku z tym 4 Brygada Saperów otrzymała rozkaz przegrupowania się w rejon na północ od Wrocławia z zadaniem zabezpieczenia przyszłych walk 2 AWP o Wrocław.

Zgodnie z otrzymanym zadaniem w dniu 29 marca brygada ześrodkowała się w nakazanym rejonie i natychmiast przystąpiła do przygotowania elementów mostowych, które miały być wykorzystywane do budowy mostów na licznych kanałach, którymi poprzecinany jest Wrocław. Prace te wykonywano w ciągu kilku dni.

Na początku kwietnia 1945 r. 2 AWP otrzymała rozkaz przegrupowania się w kierunku Nysy Łużyckiej z zadaniem wejścia do bitwy na kierunku: Rothenburg, Budziszyn, Drezno. Wraz z otrzymaniem nowego zadania przez 2 AWP 4 Brygada Saperów otrzymała zadanie przegrupowania się do rejonu Nysy Łużyckiej. 30 sibsap został ześrodkowany w rejonie Ruszew z zadaniem budowy saper-skich drewnianych łodzi /SDŁ/. Materiału budowlanego do wykonania tego zadania było pod dostatkiem, ponieważ w rejonie tym znajdowała się duża ilość tartaków. Gorzej natomiast przedstawiały się nasze umiejętności w zakresie wykonania tego zadania.

Zgodnie z otrzymanym zadaniem od dowódcy plutonu, por. Jana Jarnickiego, każda drużyna w ciągu dnia pracy miała zbudować 3 łodzie SDŁ. Łodzią pływałem dość często, ale nigdy nie zastanawiałem się, jak ją zbudować, a podczas szkolenia też nie wy-

konywaliśmy takiego zadania. W plutonie było kilku starszych wiekiem saperów z Polesia, którzy byli fachowcami w tej dziedzinie i w swoim życiu zbudowali niejedną łódkę. Budowa zatem łodzi w naszym plutonie przebiegała dość sprawnie. Przy budowie łodzi największy kłopot sprawiał nam brak paków niezbędnych do uszczelniania, ale i na to znaleźliśmy sposób, gdyż zamiast paków używaliśmy szmat z bielizny, której było pod dostatkiem w opuszczonych domach. Moja drużyna w ciągu trzech dni zbudowała 9 łodzi SDŁ i wykonała 18 wiosła.

14 kwietnia 30 sibsap został przegrupowany bezpośrednio na linię frontu nad Nysą Łużycką i znalazł się w pasie działania 9 DZ.

C. Na froncie

Od 14 kwietnia 1945 r. 30 sibsap po raz pierwszy w swej historii rozpoczął wykonywanie zadań zabezpieczenia inżynierskiego w warunkach bojowych, podczas wybuchów pocisków, min moździerzowych oraz przy łaskocie broni maszynowej. Odgłosy wybuchów w rejonie wykonywania prac wpływały ujemnie na psychikę wielu żołnierzy, którzy po raz pierwszy znaleźli się w takiej sytuacji. Ale egzamin wytrzymałości psychicznej dla wszystkich żołnierzy nastąpił dopiero 16 kwietnia. W dniu tym o godzinie 6.00 wzdłuż wschodniego brzegu Nysy Łużyckiej odezwały się zamaskowane działa artylerii 2 AWP i wojsk radzieckich. W kilka chwil później odezwały się działa nieprzyjaciela. W pierwszych chwilach ogniowego przygotowania ataku większość żołnierzy nie była zorientowana, kto strzela, gdyż nikt nas nie poinformował o początku przygotowania ataku.

Huk dział był niesamowity, wybuchy słyhać było wokoło, wobec czego wielu żołnierzy zaczęło się okopywać, niektórzy zaś biegali z jednego ukrycia do drugiego, a byli tacy, którzy się modlili. Byli to przeważnie żołnierze starsi wiekiem. Sytuacja ta została opanowana dość szybko. 30 sibsap przystąpił do wykonywania kolejnego zadania, a mianowicie budowy mostu pontonowego z parku DLP na rzece Nysa Łużycka w pasie natarcia 9 DP w rejonie płd. wsch. Rothenburg. Montaż mostu nie przebiegał jednak sprawnie z następujących powodów:

- po pierwsze, nieprzyjaciel intensywnie ostrzeliwał rejon budowy mostu z dział i moździerzy oraz z broni maszynowej;

- po drugie, stan osobowy batalionu był słabo przygotowany do praktycznego wykonywania tego zadania. Brak było zgrania w działaniu poszczególnych zespołów.

Pomimo nie sprzyjających warunków most został zbudowany i z powodzeniem wykorzystany do przeprawy czołgów, artylerii i innego sprzętu bojowego 2 AWP i Armii Radzieckiej. W wyniku ostrzeliwania rejonu budowy mostu batalion poniósł straty w ludziach i sprzęcie. Zostało zniszczonych kilka pontonów, było też kilku rannych i zabitych saperów. Z pierwszego plutonu pierwszej kompanii został zabity saper Lis i dwóch saperów rannych; ich nazwisk jednak nie pamiętam. Po zakończeniu budowy mostu 30 sibsap natychmiast został skierowany do zabezpieczenia pod względem inżynieryjnym natarcia 9 DZ, ponieważ nieprzyjaciel w pasie jej działania ustawił duże ilości min oraz wykonał w lasach i na drogach dużą ilość barykad i zawał leśnych.

Usuwanie zawał leśnych i barykad ręcznie wykorzystując piły, siekiery i kilofy było przedsięwzięciem niezwykle pracochłonnym, tym bardziej, że większość zawał leśnych i barykad była zaminowana. W związku z tym pierwszy pluton jako pluton zwiadu otrzymał zadanie rozpoznania dróg obejścia, rejonów zaminowanych oraz rozbudowanych zawał leśnych.

Prace rozgrodzeniowe wykonywano tylko tam, gdzie zachodziła konieczność.

Po przełamaniu głównego pasa obrony niemieckiej, 9 DZ w szybkim tempie nacierała na zachód. Najcięższe walki z nieprzyjacielem dywizja prowadziła w rejonie: Niesky, Budziszyna, Kamenza. W walkach tych 30 sibsap utrzymywał drogi, budował mosty na rzekach i kanałach oraz ustawiał zapory minowe na zagrożonych skrzydłach dywizji.

Krytyczny moment w działaniach 9 DZ nastąpił w dniu 27 kwietnia, kiedy to dywizja, a wraz z nią 30 sibsap, na skutek działań zaczepnych wojsk niemieckich dostała się w okrążenie. Najcięższe walki podczas próby wyjścia z okrążenia 9 DZ prowadziła w rejonie Kuckau. Walki w tym rejonie rozpoczęły się rano 27 kwietnia po wycofaniu dywizji spod Drezna. Dowódca dywizji podjął próbę wydostania się z okrążenia, wykonując uderzenie w kierunku Neuhoft, ponieważ z uzyskanych danych wynikało, że na tym kierunku nieprzyjaciel nie dysponuje bronią pan-

cerną. Wiadomości te, jak się później okazało, były niepraw -
dziwe.

Zorganizowane natarcie oddziałów 9 DZ na wymienionym wy-
żej kierunku wyruszyło około 9 rano, poprzedzone krótkim og-
niowym przygotowaniem ataku. 30 sibsap nacierał w pierwszym
rzucie na lewym skrzydle zgrupowania ogniowego. Na podany sy-
gnał tyraliera z głośnym okrzykiem "hura" wyruszyła do ataku.
Niemcy po rozpoczęciu przez nas ataku nie otwierali ognia, a
wręcz przeciwnie, zaczęli się skokami wycofywać. Jak się póź-
niej okazało, wycofywali się oni z wysuniętych ubezpieczeń bo-
jowych rozmieszczonych przed przednim skrajem obrony. Taki ruch
nieprzyjaciela podniósł nas na duchu, zaczęliśmy szybko biec
do przodu bez przerwy krzycząc "hura". Niemcy pozorując wyco-
fywanie podpuścili nas do przedniego skraju obrony na odle-
głość 150-200 m i dopiero wtedy otworzyli do nas ogień z broni
maszynowej, dział i moździerzy. Nadleciały również w tym cza-
sie samoloty, które ostrzeliwały nas z broni maszynowej oraz
obrzucały małymi bombami. W takiej sytuacji natarcie zostało
załamane. W ślad za uderzeniem ogniowym Niemcy przeszli do
kontrataku, wspierani dużą ilością czołgów. Uderzenie ich - po-
mimo silnego obezwładnienia naszych oddziałów - na pewien czas
zostało zatrzymane dzięki posiadaniu przez pododdziały dywizji
panzerfaustów zdobytych w poprzednich walkach. Organiczne środ-
ki przeciwpancerne dywizji nie brały udziału w walce, ponieważ
brak było pocisków przeciwpancernych. Niemcy nie zrezygnowali
z natarcia, ostrzeliwali nas bez przerwy ogniem moździerzy i
ponawiali ataki. W tej sytuacji otrzymaliśmy rozkaz wycofania
się na pozycje wyjściowe. Początkowo wycofywanie oddziałów od-
bywało się zorganizowanie. Niestety, szybkie uderzenie nie-
mieckich czołgów doprowadziło do chaosu i w tym czasie zginęła
największa ilość żołnierzy, stracono największą ilość sprzętu
bojowego i taborów. 30 sibsap stracił około 45% stanu osobowe-
go oraz prawie cały tabor.

Pościg nieprzyjaciela został na pewien czas zatrzymany
dopiero w godzinach popołudniowych 27 kwietnia na rubieży obro-
nnej zorganizowanej siłami drugiego rzutu dywizji i wycofują-
cych się oddziałów. Na podejście Niemców nie czekaliśmy długo.
Ich czołowe oddziały podchodziły prawie jednocześnie z wycofu-

jącymi się oddziałami dywizji. Rozgorzała walka, w której zostało zniszczonych kilka czołgów niemieckich, w związku z czym natarcie czołowych oddziałów niemieckich zostało na pewien czas zatrzymane. Po podciągnięciu świeżych sił i wykonaniu ogniowego przygotowania ataku Niemcy ruszyli do natarcia. W tej sytuacji na skutek braku obrony przeciwpancernej oraz wielkiego zmęczenia naszych wojsk otrzymaliśmy rozkaz wycofania się z zajmowanej rubieży obronnej. Wycofywanie odbywało się dość sprawnie i chyba dzięki temu w tym etapie walki oddziały nasze poniosły niewielkie straty. Nieprzyjaciel atakował z brawurą wycofujące się nasze oddziały, ponosząc przy tym straty w ludziach i sprzęcie. Walki z nieprzyjacielem prowadziliśmy do wieczora. W nocy połączyliśmy się z oddziałami Armii Radzieckiej prowadzącymi natarcie na tym kierunku i w ten sposób wyszliśmy z okrążenia. Po wyjściu z okrążenia i częściowym uzupełnieniu poniesionych strat 2 AWP prowadziła lokalne działania zaczepne bez większych sukcesów. 30 sibsap wykonywał w tym czasie różne zadania bojowe związane z budową dróg i mostów oraz ustawiał zapory minowe przed przednim skrajem obrony, na zagrożonych skrzydłach i stykach oddziałów.

4 maja 1945 r. 2 AWP otrzymała nowe zadanie przejścia do natarcia z rubieży: Kamenz, Dauban na Pirnę. Na okres trwania natarcia 30 sibsap został ponownie przydzielony do 9 DZ z zadaniem zabezpieczenia jej działań.

W nocy z 6 na 7 maja Niemcy zaczęli wycofywać się sprzed frontu 2 AWP. Po stwierdzeniu tego faktu pododdziały wyruszyły w pościg. Niemcy wycofując się minowali drogi i mosty, a na drogach w rejonach trudnych do obejścia, budowali barykady. W tej sytuacji zaistniała konieczność organizowania i wysyłania oddziałów wydzielonych wzmocnionych czołgami i pododdziałami inżynieryjnymi z zadaniem rozpoznawania dróg oraz usuwania min i barykad.

1 kompania saperów 30 sibsap została przydzielona do jednego z oddziałów wydzielonych 9 DZ i zabezpieczała jego działania. 1 pluton jako pluton zwiadu maszerował w szpicie oddziału wydzielonego. W skład szpicu wchodziło kilka czołgów z desantem piechoty i nasz pluton wyposażony w rowery. Podczas marszu szpicu jechaliśmy na jej czole, a za nami skokami przesu-

wały się czołgi z desantem piechoty. W takim ugrupowaniu w godzinach popołudniowych wkroczyliśmy do m. Pirna n/Łabą.

W momencie wyjścia na wschodni brzeg rz. Łaba na jej zachodnim brzegu z promu przewozowego wyładowywał się ostatni wycofujący się przed nami pododdział wojsk niemieckich. Na skutek prowadzonego przez nas ognia z broni maszynowej i czołgów Niemcy nie zdążyli zniszczyć promu, natomiast przecięli linę, za pomocą której poruszany był ten prom, i odeszli w kierunku zachodnim. W kilka minut po odejściu Niemców przepравиłem się na zachodni brzeg rz. Łaba znalezionej łodzią drewnianą wraz z kilkoma kolegami.

Po naprawieniu przeciętej liny promem przepłynęliśmy na wschodni brzeg. W tym czasie podeszły też pierwsze oddziały piechoty, które zdobytym promem przeprawialiśmy na zach. brzeg rzeki Łaba. Wieczorem, po podejściu do rz. Łaby 30 sibsap, pierwsza kompania działająca w składzie oddziału wydzielonego została skierowana na odpoczynek. Dalszą przeprawę wojsk zapewniała 3 kompania. Na wyznaczonej kwaterze odpoczywaliśmy po całodziennym walce. Nagle nad ranem, a było to 9 maja, zbudził mnie ze snu łoskot broni maszynowej i wybuchy granatów. Zbudziłem drużynę i wybiegłem z nią na ulicę. W pierwszej chwili nie mogłem się zorientować o co chodzi, strzelano w mieście i poza miastem. Zauważyłem, że nastrój strzelających do góry był bardzo wesoły. Okazało się, że strzelano z radości, ponieważ oficjalnie podano do wiadomości, że wojna została zakończona.

Okazało się jednak, że wojna zakończyła się, ale nie dla wszystkich. Wojska hitlerowskie, mimo podpisania aktu bezwarunkowej kapitulacji, stawiały w dalszym ciągu opór na terenie Czechosłowacji. W tym ostatnim etapie wojny 30 sibsap miał zabezpieczać w dalszym ciągu działania 9 DZ. W pierwszej kolejności rozpoznać i utrzymywać drogę na kierunku: Sebnitz, Wysoka Lipa, Bensów. Do walki jednak nie doszło i zadania bojowe wykonywane na korzyść 9 DZ zostały przerwane. Ja w tym czasie byłem w Wysoka Lipa. Dla saperów wojna się jednak nie skończyła. Okupant na terenie naszego kraju ustawił tysiące min, które w jak najkrótszym czasie należało usunąć z dróg i pól uprawnych.

Do wykonania tego zadania została również skierowana 4 Brygada Saperów a wraz z nią 30 sibsap. Po powrocie do kraju od 31 maja 1945 r. 30 sibsap przystąpił do rozminowania pól, minowych w rejonie Pilzna. Na rozminowaniu byłem do 20 czerwca a następnie zostałem skierowany do oficerskiej szkoły wojsk inżynieryjnych w Przemyślu. Od tego czasu rozpocząłem następny etap żołnierskiej drogi.

V. SZLAKIEM 19 SAMODZIELNEGO BATALIONU SAPERÓW

Do 19 batalionu saperów przybyłem jako oficer w okresie kiedy 2 Armia WP i wchodząca w jej skład 8 DP, ścigała wycofujące się oddziały hitlerowców i własowców na terenie Czechosłowacji. W tej chwili nie pamiętam dobrze nazw miast i miasteczek, zwłaszcza w Saksonii, a następnie w Czechosłowacji, przez które przejeżdżaliśmy, by odnaleźć swoją jednostkę. Bardzo dobrze utrwaliły mi się w pamięci Rausza /ze szpitalem 2 armii i wystawionymi tam zwłokami zmasakrowanego w okrążeniu gen. Waszkiewicza/, Bautzen czyli Budziszyn /z olbrzymimi napisami na murach nawołującymi do obrony miasta przed "nawałą bolszewicką" w rodzaju "Sieg oder Sibirien..." i innymi/, Königstein /z olbrzymim zamkiem na górze/ oraz Neustadt /koło Drezna/. Do - piero w tym ostatnim mieście, gdzie znajdowały się jeszcze resztki sztabu 2 armii, dowiedzieliśmy się o przypuszczalnym miejscu znajdowania się batalionu. Resztę drogi musieliśmy odbyć na "własną rękę". W tym wypadku bardzo pomocne okazały się "zdobyczne" rowery, na których mogliśmy ścigać swoją jednostkę.

Wreszcie cel został osiągnięty. W batalionie przyjęto nas bardzo serdecznie. Bądź co bądź 5-ciu nowych oficerów, to dla takiej jednostki jak batalion, poważny zastrzyk, tym bardziej, że kilku dowódców pododdziałów nie wróciło jeszcze z niewoli /np. kpt. Baranow, oficer radziecki, dowódca kompanii saperów/. Pracy w batalionie było bardzo dużo. Przede wszystkim trzeba było najpierw przejąć swój pododdział i równolegle z tym wykonywać szereg zadań. Prawie od początku zasadniczym naszym obowiązkiem było rozminowanie. Rozminowywaliśmy wszędzie gdzie tylko zaistniała potrzeba.

Po krótkim zapoznaniu się z batalionem, a zwłaszcza z dowódcami i podwładnymi /dowódcą batalionu był wówczas kpt. Smarzewski, szefem sztabu - oficer radziecki - kpt. Smolin, zastępcą dowódcy ds. politycznych - por. Kamiński i dowódcami kompanii: kpt. Kiejstut Žemajtis - późniejszy Minister Przemysłu Ciężkiego a ostatnio rektor AGH, kpt. Błahij - oficer radziecki i wspomniany już wyżej kpt. Baranow/ rozpoczął się powrót naszej dywizji do kraju. Były to dla nas wielkie przeżycia.

Najpierw maszerowaliśmy w kierunku na Śląsk. Jednak w Legnicy jednostki 8 DP zostały zatrzymane w związku z otrzymaniem rozkazu Naczelnego Dowódcy obsadzenia wojskami 2 armii granicy na Odrze i Nysie. 8 DP udała się na północ i zatrzymała się w rejonie Swiebodzina. Batalion nasz rozmieścił się pod Swiebodzinem w miejscowości Gräditz. Tutaj otrzymałem zadanie przeprowadzenia rozminowania powierzchniowego na odcinku od Schwibus-Libenzig do Zyonna-Grossen.

W trakcie wykonywania tego zadania rozpoczęło się planowe wysiedlanie Niemców na Zachód /batalion, podobnie jak i cała dywizja, mimo wykonywania zadań specjalnych, również wziął udział w tej akcji/. Między innymi braliśmy udział w konwojowaniu poszczególnych grup Niemców do stacji granicznej w Forst, a także w przejmowaniu mienia tych Niemców, którzy nie byli w stanie zabrać ze sobą wszystkiego. Dopomagaliśmy również przybywającym na Zachód repatriantom ze Wschodu zaopatrując ich w żywność, siłę pociągową i bydło, które pozostało po Niemcach. W pewnym okresie okazało się, że pod zarządem batalionu znajduje się około 300 krów, których nie było jeszcze komu przekazać. Po miesięcznym pobycie w Gräditz i Schwibus dywizja, a zatem i batalion, otrzymały rozkaz zmiany miejsca dyslokacji i przejścia do stałych garnizonów na Podkarpaciu. Przemarsz dywizji odbywał się przez Katowice, Kraków, Tarnów, Gorlice, Jasło aż do Krosna. Wszędzie spotykano nas bardzo serdecznie i uroczyście. Były to naprawdę chyba najprzyjemniejsze chwile w moim życiu. Ludzie ze łzami w oczach z radości rzucali się nam w ramiona. Obsypywano nas kwiatami i zarzucano podarkami. Wszędzie na postojach byliśmy przyjmowani przez ludność jak najlepsi goście. To nic, że mundury nasze nie były efektowne, najważniejsze było to, że każdy widział w nas swoich wyzwolicieli, że byliśmy Wojskiem Polskim, które powracało z frontu po zwycięstwie nad znieprawionym wrogiem.

Ale radość nasza nie trwała zbyt długo. W kraju czekało nas mnóstwo roboty. Trzeba było odbudowywać i naprawiać zniszczone mosty i drogi, rozminowywać kraj, a także walczyć ze zbrojnym podziemiem, które postawiło sobie za cel obalenie władzy ludowej.

Najpierw batalion otrzymał zadanie odbudowy mostów na

drodze Grybów, Krynica. Odbudowa tych mostów była wówczas jedyną szansą dla Krynicy, która w związku ze zniszczeniem tunelu w Żegiestowie, praktycznie odcięta była od świata. Batalion wywiązał się z tego zadania bardzo dobrze, szybko budując między innymi piękny most na rz. Białej w Grybowie oraz szereg pomniejszych mostków wzdłuż całej drogi z Grybowa do Krynicy.

Ojcowie miasta Krynicy nie mieli słów uznania dla ofiarnej pracy saperów. Krynica przywrócona była krajowi, jako jeden z najbardziej atrakcyjnych i najpiękniejszych ośrodków wypoczynkowych.

Radość nasza z dobrze spełnionego obowiązku nie trwała jednak zbyt długo. Znow zaczęły się dla batalionu naprawdę trudne dni. Od czasu zakończenia wojny batalion nigdy nie poniósł tak licznych strat jak teraz, gdy przystąpił do rozminowania pasa min ciągnących się od przełęczy Dukielskiej aż do Frysztaku. Rozminowanie tych obszarów było zadaniem niezmiernie skomplikowanym. Wiadomo bowiem, że pomiędzy Jaskiem i Krośnem, a także w pobliżu tych miast znajdowały się liczne pola minowe, które ustawiane były przez wiele miesięcy zarówno przez wojska radzieckie, jak też i przez Niemców. Ponieważ front na tej linii zatrzymał się bardzo długo, a ponadto ze względu na trwające tutaj uporczywe walki, podczas których niektóre miejscowości przechodziły często z rąk do rąk, powstały na tych obszarach tak skomplikowane strefy zapór, że nie sposób było początkowo zorientować się jaki był system ustawiania poszczególnych pól minowych, a ponadto kto i gdzie je ustawiał. Było to pomieszanie różnych systemów minowania i typów min. Warto dodać, że przed przybyciem do tych rejonów pododdziałów saperских, niektóre z tych pól były rozminowywane samodzielnie przez miejscową ludność, a zwłaszcza przez młodych i lekkomyślnych chłopców. Jakże wielu z tych domorosłych minierów spotykaliśmy prawie w każdej wsi często bez rąk lub nóg bądź też ze zniekształconą twarzą. Ileż niészczęść i tragedii przeżywali ci ludzie, którzy nie tylko nie mogli przez wiele miesięcy uprawiać swojej ziemi, ale ponadto musieli przeżywać grozę wojny i patrzeć na skutki jej strasznych pozostałości, często pod własną strzechą lub w domu najbliższych.

Jakkolwiek przed naszym przybyciem, ta żywiołowa i nie-

zorganizowana akcja dała pewne rezultaty w postaci unieszkodliwienia kilkuset, a może nawet kilkunastu tysięcy min, to niemniej jednak stwierdzić trzeba, że przysporzyła ona nam wiele trudności i kłopotów. Po prostu utrudniła ona początkowo rozszyfrowanie konkretnych systemów minowania na wielu polach minowych. Przy tym nie dysponowaliśmy w pierwszym okresie rozmिनowania formularzami pól minowych. Dopiero później, po upływie kilku miesięcy otrzymaliśmy pewną część formularzy, ale tylko niemieckich /nota bene wiele z nich odnaleziono wśród archiwów Wehrmachtu, które wywiezione zostały aż do Francji/, dzięki którym w późniejszym czasie mieliśmy nieco ułatwione zadanie. Szkoda tylko, że nie stało się to wcześniej - na pewno uniknęlibyśmy wielu ofiar wśród saperów.

Zasadniczą jednak trudnością z jaką zetknęliśmy się początkowo było to, że wielu saperów nie posiadało należytego doświadczenia w prowadzeniu rozminowania. Niektórzy z nich, nie wyłączając również i oficerów, uważało, że doświadczenia zdobyte na froncie wystarczą za wszystko. Stosowano więc początkowo wypróbowaną na froncie metodę tzw. tyraliery, polegającą na tym, że saperzy pracowali jednocześnie w niezbyt dużym oddaleniu od siebie. Ponadto wielu z saperów uważało, że skoro przeżyli wojnę, to cóż znaczą dla nich miny, tym bardziej te, które można usuwać bez oddziaływania nieprzyjaciela. Niektórzy stykając się z ludnością, a także pracując wśród nowych kolegów chciało pokazać im jacy to oni są odważni, lekceważąc przy tym elementarne przepisy bezpieczeństwa. Po prostu zaczęto szarżować. Takie bagatelizowanie niebezpieczeństwa zaczynało się zazwyczaj po zdjęciu kilku czy też kilkunastu pierwszych min do czasu aż nie stało się nieszczęście. W wielu przypadkach winę za wypadki ponosili sami oficerowie, którzy chcąc pokazać swoim podwładnym swoją odwagę i nieco lepsze przygotowanie usiłowali najpierw sami robić to co powinni byli robić najlepiej przeszkoleni żołnierze z rozpoznania. Muszę się przyznać, że również robiłem to sam i popełniałem podobne błędy, a to, że bez wypadku przeżyłem ten okres zawdzięczam chyba szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Po jakimś czasie okazało się, że procent zabitych oficerów był znacznie wyższy niż wśród szeregowców i podoficerów. Najprawdopodobniej to było przyczyną, iż po

roku rozminowania wydany został specjalny rozkaz kategorycznie zabraniający oficerom bezpośredniego udziału w usuwaniu min. W rozkazie tym było wyraźne zalecenie, że każdy z oficerów odpowiedzialnych za rozminowanie powinien być przede wszystkim organizatorem a nie wykonawcą. Trzeba stwierdzić, że rozkaz ten przyczynił się znacznie do zmniejszenia strat wśród oficerów a tym samym i wśród ich podwładnych.

Ale zanim to wszystko nastąpiło batalion nasz przeżył dni i miesiące grozy. Były dni, kiedy to dosłownie rano grzebaliśmy jednego z kolegów, a już wieczorem trzeba było szykować się do następnego pogrzebu.

W tej chwili nie przypominam sobie dokładnie ilu ludzi stracił batalion od czasu gdy przystąpił do rozminowania powiatów jasielskiego i krośnieńskiego, aż do momentu zakończenia tej akcji w roku 1947. W każdym razie były to straty duże jak na okres pokojowy. Wystarczy powiedzieć, że spośród 6-ciu oficerów, którzy wraz ze mną przybyli w maju 1945 roku do batalionu, jedynie ja i ówczesny chorąży Gwardak Tadeusz przeżyliśmy ten okres bez szwanku. Pozostali moi koledzy, jak chorąży Drozdowski i ppor. Dutkowski, zginęli na polu minowym, zaś ppor. Sokołowski oraz chor. Bobik zostali ciężko ranni. Stratami objęci byli w batalionie nie tylko szeregowcy, podoficerowie i młodsi dowódcy, lecz również i oficerowie zajmujący wyższe stanowiska. I tak na przykład podczas kontroli mego pododdziału wykonującego zadanie rozminowania zostali na moich oczach ciężko ranni odminy: dowódca batalionu kpt. Smarżewski, szef sztabu batalionu - por. Perskiewicz oraz kwatermistrz batalionu - ppor. Adamski.

Początkowo zadania związane z rozminowaniem wykonywane przez batalion miały charakter rozpoznawczy. Chodziło w tym wypadku o to, by zlokalizować dokładnie gdzie i w jakich rejonach znajdują się największe skupiska min oraz ustalić jakie rodzaje min są tam ustawione. Było to wówczas konieczne z wielu względów. Głównie kierowano się tym, aby w pierwszym rzędzie opracować jakiś plan rozminowania, przygotować batalion do wykonania tego zadania a ponadto, by przeszkolić stan osobowy batalionu w taktyce i metodzie rozminowania. Ponieważ batalion nie miał w tej dziedzinie większych doświadczeń, zatem -

jak się wydaje - popełniono wówczas szereg błędów. Jednym z nich było to, że do rozminowania przystąpiono bez wstępnego przestudiowania danych o charakterze, zakresie i stopniu zaminiowania terenu. Nie przeprowadzono studium działań prowadzonych w tych rejonach przez walczące wojska w okresie zatrzymania się frontu. Na domiar złego, nie porozumiano się ponadto z polskimi jednostkami saperскими, które przed przybyciem batalionu, przeprowadzały już tutaj wstępne rozminowanie. Gdyby te warunki były wówczas spełnione, niewątpliwie udałoby się uniknąć wielu niepotrzebnych ofiar. Ale batalion w tym wypadku był jak gdyby trochę osamotniony. Z jednej strony sam nie posiadał w tej dziedzinie większych doświadczeń, a z drugiej zaś pierwotnie nie otrzymywał z dywizji żadnej pomocy, gdyż tam uważano, że skoro dotyczy to rozminowania i jest to sprawa saperów, zatem niech się tą sprawą martwią saperzy, nawet jeśli posiadają do tego celu najbardziej przestarzały i prymitywny sprzęt /wówczas posiadaliśmy tylko wykonane własnoręcznie macki oraz starego typu lampowe wykrywacze min wiecznie psujące się i nie nadające się do użytku/. Wpłynęło na to również szereg przyczyn obiektywnych, do których trzeba przede wszystkim zaliczyć: duże zaabsorbowanie jednostek dywizji / a w tym również i batalionu/ sprawami organizacyjnymi, zaopatrzeniowymi i szkoleniowymi, nasilającą się coraz bardziej walką dywizji ze zbrojnym podziemiem /które w miarę upływu czasu stało się tutaj niezwykle aktywne/, zwłaszcza z bandami UPA, Żubryda i innymi, a także zaabsorbowaniem dywizji wielkimi akcjami politycznymi /na przykład referendum, zabezpieczenie pracy komisji delimitacyjnej, przesiedlanie ludności ukraińskiej itp./.

W tych warunkach i w tej sytuacji batalion otrzymał latem 1945 roku wyraźny rozkaz przystąpienia do rozminowania. Dowództwo, sztab batalionu i większość jego pododdziałów znajdowały się wówczas w miejscowości Suchodoł k/Krosna. Z batalionu wyłoniona została po raz pierwszy grupa rozpoznawcza. W skład jej wyznaczeni zostali dwaj dowódcy plutonów /ja i chor. Tadeusz Sibilski/ wraz z kilkunastoma saperami. Mieliśmy udać się do rejonów zagrożonych i tam przeprowadzić dokładne rozpoznanie. W miejscowości Moderówka grupa nasza podzieliła się na dwie podgrupy. Ja z kilkoma saperami miałem pracować w samej

Moderówce, zaś chor. Sibilski ze swoją podgrupą miał udać się nieco na północ od wymienionej wsi.

W niedługim czasie po rozpoczęciu pracy usłyszeliśmy silny wybuch. Zarówno moi saperzy, jak też i ja mieliśmy złe przeżycia. Domyślaliśmy się, że stało się coś niedobrego. I istotnie, mniej więcej po upływie pół godziny, dowiedzieliśmy się o tym, iż w podgrupie Sibilskiego zginęło dwóch saperów. Byli to dwaj rodzeni bracia /nie przypominam dobrze imion, ale zdaje mi się, że Staszek i Władek Kaczmarkowie/, którzy jak na złość przebyli razem cały szlak bojowy dywizji nie ucierpiawszy nawet w najmniejszym stopniu. I nagle tutaj, na ziemi ojczystej, już po zakończeniu wojny, znaleźli śmierć w jednym czasie od jednej miny. Cóż za fatalny zbieg okoliczności.

Okoliczności, w jakich ci dwaj saperzy, zawsze wzorowi żołnierze, zginęli, były wprost przedziwne. Otóż okazuje się, że jeden z nich, w trakcie penetrowania terenu macką saperską, nagle natknął się na niemiecką minę przeciw piechocie typu "S" /Springmine/, która charakteryzuje się tym, iż po naciśnięciu na jeden z wystających nad ziemią i prawie niewidocznych gołym okiem "wąsików", zaczyna pod ziemią syczeć, by po krótkim czasie /na skutek szybkiego spalania się ładunku miotającego w postaci prochu/ wyskoczyć na wysokość około 1 m i tutaj rozzerwać się i rozsiać w promieniu kilkuset metrów paręset zawartych w niej drobnych odłamków metalowych, siejących dookoła śmierć i spustoszenie. Kaczmarek najprawdopodobniej minę taką doskonale znał i wiedział dobrze czego ona może dokonać. W tym czasie, gdy to nastąpiło, w pobliżu tego miejsca znajdowali się, w odległości kilkunastu czy też kilkadziesiątu metrów, jego koledzy, którzy podobnie jak i on przeszukiwali teren. Brat jego znajdował się w tym czasie najdalej od niego. W momencie, gdy nastąpiło syczenie, Kaczmarek wiedząc najprawdopodobniej co ono oznacza nagle padł na minę, by własnym ciałem ją przykryć i nie dopuścić do wyskoczenia jej ponad ziemię. Trudno jest w tej chwili ustalić, czy był to przypadek, czy czyn desperacki, czy też wyczyn bohaterski. W każdym razie trzeba stwierdzić, że ciało jego stało się jak gdyby tarczą dla innych kolegów, którzy dzięki temu ocalali. Niestety nie wszyscy jednak zostali uratowani. Najdalej znajdujący się od niego, brat

został ugodzony tylko jednym odłamkiem i to w samo serce ponosząc śmierć w tym samym momencie, w którym zginął jego bohater-ski brat. Jednemu z saperów odłamek przeciął metalową część maczki, innemu taki sam odłamek przerwał spodnie, przeciął kopertę od zegarka i zatrzymał się w jego wnętrzu nie czyniąc saperowi najmniejszej szkody. Pozostałym saperom nie stało się nic.

Jak na pierwszy dzień akcji była to dla batalionu strata bolesna, tym bardziej, że przecież Kaczmarkowie byli znani przez wszystkich. Wypadków podobnych i nie mniej strasznych batalion przeżył jeszcze wiele.

Wkrótce zostałem mianowany zastępcą dowódcy kompanii do spraw liniowych. Batalion po krótkotrwałej przerwie, pomimo szoku jaki przeżyliśmy wszyscy na skutek tego wypadku, przystąpił ponownie do kontynuowania prac. Ja pracowałem w grupie rozmianowania wspólnie z Sibilskim. Inna grupa pod dowództwem ppor. Sokołowskiego pracowała w Niegłowicach k/Jasła. Tam pracowała większość moich kolegów.

Pole minowe we wsi Szebnie, z którym mieliśmy początkowo do czynienia należało do pól bardzo trudnych. Zwykle metody rozminowania nie dawały tutaj rezultatów. Trzeba było stosować inne metody, tym bardziej, że były już pierwsze ofiary. W czasie gdy zastanawialiśmy się z Sibilskim nad możliwością zastosowania przy rozminowaniu odpowiedniego trału, nagle otrzymałem rozkaz, by natychmiast udać się do Niegłowic i przejąć dowodzenie kompanią, gdyż - jak mię powiadomiono - dowódca kompanii i wszyscy jego oficerowie są albo zabici, albo ranni. Jakkolwiek byłem wstrząśnięty tą wiadomością, to niemniej jednak natychmiast udałem się na miejsce wypadku. Tam stwierdziłem rzecz straszną. Otóż od jednego wybuchu na raz zginęło bądź odniosło rany aż 11 osób, w tym zabitych zostało 6 osób /1 oficer - mój najserdeczniejszy przyjaciel chor. Drozdowski oraz 4 podoficerów i szeregowców, a także 1 osoba cywilna/ i odniosło rany 5 osób /ppor. Sokołowski, ppor. Adamski, 1 podoficer i 2 osoby cywilne/. Praktycznie kompania została całkowicie dezorganizowana. Jak do tego mogło dojść? Początkowo nad tym nie zastanawiałem się. Najpierw trzeba było zorganizować pogrzeb.

W zorganizowaniu pogrzebu wydatnej pomocy udzielili nam dykcja i rada zakładowa Niegłowickiej Rafinerii, a także miej-

scowa ludność, zwłaszcza z Niegłowic i po części z Jasła. Pogrzeb był wstrząsający. Dla nas oficerów, młodych wówczas ludzi, przeważnie dwudziestolatków, było to straszne przeżycie. Grozę chwili podczas pogrzebu wznagało wycie wszystkich syren fabrycznych i przeciągły gwizd parowozów. Nad grobem musiałem przemawiać. Nie wiem czy mówiłem mądrze, ale chyba serdecznie, dość, że po tym wszystkim zarówno ja, jak i moi koledzy, a także licznie zgromadzona ludność głośno łkała jak na pogrzebie kogoś naprawdę bliskiego.

O ile dotychczas ludność miejscowa ustosunkowana była do nas wojskowych nie zawsze życzliwie, o tyle po tym wypadku, staliśmy się dla niej ulubieńcami i najbardziej szanowanymi gośćmi. Odczuwaliśmy to później na każdym kroku. Nawet tak drażliwe sprawy, jak nasze trudności aprowizacyjne były w późniejszym czasie rozwiązywane przez nią w sposób niezwykle rozczulający.

Po pogrzebie zająłem się w pierwszym rzędzie ustaleniem i zbadaniem przyczyn zaistnienia wypadku. To było wówczas nieodzowne. W naszym fachu nawet niepowodzenia i błędy były dla nas najlepszą nauką, z której trzeba było już nazajutrz wyciągać wnioski realne i stosować je natychmiast w praktyce.

Smutna lekcja jaką był ostatni wypadek była jeszcze jednym potwierdzeniem starego i dobrze znanego powiedzenia, że "saper myli się w życiu tylko raz". Tak było i w tym wypadku. Również i teraz wielka ilość ofiar spowodowana była fatalnym błędem. Zresztą potwierdzili to sami poszkodowani, którym na szczęście udało się przeżyć tę straszną chwilę. Jak wynikało z ich relacji bezpośrednią przyczyną wypadku było dopuszczenie do rozminowania saperów, który dotychczas w pododdziale nie odznaczał się zbyt dużą odwagą ani też sprytem. Po prostu paniecznie bał się min. W konkretnym przypadku po zakończonej pracy polecono mu przynieść wydobyte z ziemi i rzekomo rozbrojone już miny na stos, skąd miały one być przetransportowane do kompanii, jako cenny i niezbędny do dalszych prac materiał wybuchowy. Niestety jedna z tych min była uzbrojona. W tym wypadku popełniono następujące błędy, które polegały na tym, że: po pierwsze: nie polecono saperowi, aby przed wzięciem miny do ręki sprawdził każdą z nich czy nie jest uzbrojona; po drugie

- nie powiedziano mu wyraźnie, że nawet min nieuzbrojonych nie wolno rzucać; po trzecie - wybrano miejsce na odpoczynek tuż przy samym stosie min, na który saper ten miał je znosić; po czwarte - tymczasowy skład min wybrano tuż przy drodze publicznej, po której odbywał się normalny ruch.

Okolicznością dodatkową, która przyczyniła się w sposób pośredni do zaistnienia wypadku było, podobnie jak i w wielu innych przypadkach całkowite rozluźnienie, jakie zwykle następuje po zakończeniu pracy /wymagającej jak wiadomo stałego napięcia nerwowego i niesamowitej koncentracji uwagi/.

Po tym wypadku zainteresowanie naszym batalionem ze strony sztabu dywizji nieco wzrosło. Zaczęliśmy otrzymywać instrukcje a nieco później również pierwsze formularze pół minowych. Zaopatrzenie batalionu nieco się poprawiło. Zakatwiono nam sprawę regularnych dostaw żywności, a także prowizorycznego kasyna oraz stołówki dla szeregowców i podoficerów. Żołnierze otrzymali trochę lepsze umundurowanie. Otrzymaliśmy ponadto pierwsze uzupełnienie. Od tej chwili, obok gderających i rozgadanych starych frontowych wiarusów, przeważnie w wieku po 50 i więcej lat głównie "zza Buga" /z Wileńszczyzny, Tarnopolskiego, Stanisławowskiego/ znaleźli się w batalionie, a również i w mojej kompanii doskonali i nadzwyczaj zdyscyplinowani młodzi żołnierze z Poznańskiego. Praca z tymi żołnierzami stała się nieco łatwiejsza tym bardziej, że byli to ludzie energiczni, pomysłowi i pełni inicjatywy.

Wkrótce wyznaczony zostałem na dowódcę wyłonionej do-raznie z batalionu grupy rozminowania. Zadaniem moim było organizowanie prac w kilku punktach. Było to dla mnie wielkim zaszczytem, ale jeszcze większym obciążeniem. Musiałem jednocześnie kontrolować pracę na dużym obszarze, a przy tym odpowiadać za wyniki oraz życie wielu ludzi.

Obarczony tym obowiązkiem po jakimś czasie byłem nerwowo tak wyczerpany i roztrzęsiony, że mimo codziennego poważnego wysiłku fizycznego, po nocach nie mogłem spać, ciągle rozmyślałem nad tym jak lepiej zorganizować pracę by nie stracić ani jednego człowieka, a przy tym by uzyskiwać coraz lepsze rezultaty. Co noc śniły mi się różne miny i sytuacje z nimi związane. To wyczerpywało... W dzień, każdy nieplanowy wybuch, powo-

dował, że natychmiast cierpła mi ze strachu skóra, gdyż wiadomo było, że każdy taki wybuch mógł oznaczać czyjąś śmierć. Wkrótce wydałem polecenie, aby w ciągu dnia, w czasie prowadzenia rozminowania, nie powodować żadnych wybuchów bez mojej wiedzy. To było konieczne, gdyż inaczej nikt nie mógłby pracować.

Pewnego razu, gdy znajdowałem się na kontroli jednej z grup we wsi Żukowo na wsch. brzegu rz. Wisłoki usłyszałem straszliwy wybuch. W czasie tej eksplozji zginął dowódca plutonu ppor. Dutkowski, bardzo dobry kolega, inteligentny, mądry i doświadczony oficer, kierujący pracą podgrupy Niegłowice. Przyczyny jego śmierci do dzisiaj nie jestem w stanie rozszyfrować.

W każdym razie, gdy przybyłem na miejsce stwierdziłem, że nastąpiło to w czasie niszczenia przezeń większej ilości min, które zostały poprzednio zgromadzone w olbrzymim dole po poprzednich wybuchach. Podporucznik Dutkowski, mimo kategorycznego zakazu, postanowił sam zniszczyć zgromadzone w dole miny. Obstawa składająca się z saperów zaobserwowała z odległości kilkuset metrów dwukrotne wchodzenie Dutkowskiego do dołu. Przypuszczam, że za drugim razem ppor. Dutkowski, mając wątpliwości co do tego, czy zapalony przez niego uprzednio sznur Bickforda pali się, wszedł ponownie do dołu nie podejrzewając, że w tym czasie nastąpi wybuch. Niestety to było chyba jego fatalnym błędem. Został rozszarpany w straszliwy sposób. Szczątki jego ciała rozsiane zostały w promieniu kilkuset metrów. Może jest to makabryczne, ale warto powiedzieć, że zebraliśmy do prześcieradła nie więcej niż dwa-trzy kilogramy tego co do niedawna nazywało się człowiekiem. Po upływie kilkunastu dni przyniesiono do mnie znaleziony w odległości około 800 m od centrum wybuchu metalowy bezkształtny przedmiot, w którym rozpoznaliśmy stopiony pistolet Dutkowskiego. Tak zakończył życie człowiek prawy, dobry przyjaciel, do niedawna uosobienie męskości i urody, bożyszcze wszystkich okolicznych pańien.

Po tym wszystkim dowództwo batalionu przenosi się do Niegłowic. Jest bliżej nas. Wkrótce ze swoją grupą rozminowania udają się w teren, by rozminowywać inne rejony. Najpierw jesteśmy we wsi Zimna Woda. Miejscowość strasznie zniszczona. Nie ma ani jednej całej chałupy. To są skutki długotrwałego zatrzymania się tu frontu. Jak wynikało z rozmieszczenia ocalałych

jeszcze okopów i bliskości pól minowych niemieckich i radzieckich przednie skraje musiały przebiegać w niektórych miejscach w odległości nie większej niż 60-100 m. Występowały tutaj na ogół wszystkie typy min. Miny "S", "Stockmine" naciągowego działania, "Holzmine" naciskowego działania, miny przeciwtransportowe RMI-43, również miny z elementami nieusuwalności oraz wiele min radzieckich. Wszystko to pomieszane ze sobą. Pola te, przeważnie już silnie zarośnięte, robiły na nas wrażenie. Było to i dobre i złe. Złe było to, że oddziaływały one ujemnie na naszą psychikę, na nasze nastroje. Dobre zaś było to, że musieliśmy bardziej skoncentrować naszą uwagę dzięki czemu ponieśliśmy, mimo gorszych warunków pracy, znacznie mniej strat aniżeli gdzie indziej. Zacząłem stosować bardziej udoskonalone metody rozminowania. Bezpowrotnie zniknęła z naszej taktyki działania metoda rozminowania tyralierą, zastąpiona metodą "rozrzedzoną", w której zbliżenie poszczególnych saperów na niedozwoloną odległość w czasie pracy były niemożliwe. Zastosowałem również po raz pierwszy wystrzeliwanie na pole minowe /a raczej miotanie/ odpowiednich kotwiczek z linką celem rozminowania min naciągowego działania. Ponadto zastosowałem w Zimnej Wodzie metodę wybuchową przy rozminowaniu stosując do tego przeważnie ładunki podwieszane oraz wykorzystując oddziaływanie ładunków aktywnych na szereg ładunków pasywnych. Zastosowaliśmy również dość prymitywne /własnoręcznie wykonane/ jakby trały.

Wprawdzie nie były to jeszcze środki i sposoby doskonałe, niemniej wydaje się, że miały one wówczas ogromne znaczenie. Podnosiły ducha i wiarę saperów w to, że miny nie są niezwyciężone, że można z nimi walczyć, że można je likwidować nie ponosząc przy tym większych strat. Muszę przyznać, że wysiłek mój w tym zakresie został należycie doceniony zarówno przez dowództwo batalionu, jak też i przez dowództwo dywizji. Ówczesny zastępca dowódcy dywizji do spraw politycznych ppłk Jan Śliwiński opisał to dość obszernie w jednym z numerów "Polski Zbrojnej". Zwracałem uwagę nie tylko na zastosowanie odpowiednich środków i metod rozminowania, lecz również i na inne sprawy z tym związane. Mianowicie, na podstawie długotrwałej obserwacji stwierdziłem, że aktualny stan psychiczny po-

szczególnych żołnierzy wykonujących zadania rozminowania ma ogromne znaczenie na stan ich bezpieczeństwa podczas pracy. To też codziennie, przed każdym wyruszeniem moich żołnierzy do pracy, rozmawiałem z każdym z nich dowiadując się jak się czują i czy są w stanie wyruszyć na wykonanie zadania. Żądałem przy tym zawsze szczerości. Bywały wypadki, że niektórych pozostawiałem tego dnia w miejscu postoju grupy przydzielając im zupełnie inne zadania. Ludzie ci po jakimś czasie sami zgłaszali się do pracy twierdząc, że już się czują lepiej.

O ile takie podejście nie byłoby możliwe w czasie wojny, to uważam, że w czasie pokoju było to rozwiązanie potrzebne i niezbędne. Chodziło o to, by nie stracić niepotrzebnie nikogo.

Po Zimnej Wodzie, gdzie zginęło już tylko dwóch saperów i 1 oficer odniósł rany /chor. Bobik/ wyruszyliśmy do Roztok. Potem były Tarnowiec, Potakówka, Jedlicze, Frysztak, znów Szebnie, znów Przybówka i wiele wiele innych miejscowości. W tej chwili nie pamiętam dokładnie wszystkich miejscowości, w których byli i rozminowywali moi saperzy. Wiem tylko, że usunęli i zniszczyli tysiące i dziesiątki tysięcy min. Byli wśród nich "rekordziści", którzy mieli na swym koncie po kilka tysięcy rozbrojonych i zniszczonych min. Do nich zaliczam ówczesnego starszego sierżanta Juliana Szumiela, sierżanta Waszkiewicza i innych. Niestety niektórzy z tych rekordzistów polegli na minach bądź też zostali inwalidami na całe życie.

Rozminowywaliśmy do końca 1945 roku, do czasu aż spadł śnieg i nastąpiły mrozy. Tej zimy batalion przeniósł się do Miejsca Piastowego k/Krosna i został rozmieszczony w wolnej części klasztoru. Miejscowość ta utrwaliła mi się w pamięci szczególnie. Tutaj zostałem powiadomiony, że moi rodzice żyją i że repatriowali się ze Związku Radzieckiego na Ziemię Zachodnie. Radość moja była ogromna, gdyż prawie przez cały rok nie miałem od nich żadnej wiadomości. Kontakt z nimi straciłem po ukończeniu szkoły oficerskiej i udaniu się do 2 Armii WP.

Tej zimy, podobnie jak i przez cały 1945 rok, nie próżnowaliśmy. Trzeba było szkolić nasze wojsko. Ale to nie trwało zbyt długo. Wkrótce rozjechaliśmy się po całym Podkarpaciu, by wziąć udział w akcji przeciwlodowej i przeciwpowodziowej. Z grupą saperów udaję się do Tarnowa, a następnie do Mielca. Bro-

nimy mostów przed spływem kry. Odpowiadam za mosty na Dunajcu koło Tarnowa oraz na Wisłoce w Mielcu. Współpracujemy z inną grupą saperów, która tutaj już tkwi od kilkunastu dni. Wszystkie mosty powierzone nam do ochrony zostają uratowane. Wracamy do batalionu w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Wreszcie wiosna. Z grupą rozminowania udaję się ponownie w teren. Znow wędrowniki od wioski do wioski i od miasteczka do miasteczka. Wszędzie szukamy min. Wkrótce jesteśmy w Żmigro - dzie, a następnie w Dukli. Obydwa miasteczka potwornie zniszczone, robią przygnębiające wrażenie. Ludzie wynędzniali i jak gdyby przestraszeni. Wieczorami na ulicach straszliwe ciemność. Pomiędzy tymi miasteczkami słynna już w całej Polsce "Dolina Śmierci". To tutaj niedawno rozegrała się jedna z najcięższych i najkrwawszych bitew w końcowej fazie wojny, w której to obok 38 armii radzieckiej wziął udział 1 korpus czechosłowacki. Niemcy nie chcąc dopuścić do sforsowania wąskiej Przełęczy Dukielskiej /wynoszącej w niektórych miejscach 1,5 - 3 km/ u jej wlotu ustawili olbrzymie ilości min.

Mieliśmy rozminowywać ten rejon. Przed nami działała tu polska brygada saperów, jednak na skutek poniesienia dużych strat oraz otrzymania nowego zadania, nie skończyła pracy. Było to raczej zapoczątkowanie rozminowania "Doliny Śmierci". Na tych polach zginęło również lub odniosło ciężkie rany wielu śmiazków spośród ludności cywilnej.

Przyznam się, że pola te zrobiły na mnie duże wrażenie. Po prostu bałem się tej pracy. Mimo pięknej pogody, jaka zapanaowała w dniu, gdy przystąpiliśmy do wykonywania zadania, odniosłem wrażenie, że cały ten rejon jest jak gdyby wymarły. Nie wiem czy się nie mylę, ale przez kilka dni pobytu, nie słyszałem śpiewu ptaków ani nawet świerszczy. Po prostu idealna cisza... Całe szczęście, że wkrótce odwołano nas stąd. Niestety inni musieli to zrobić za nas. Jak mi wiadomo rozminowanie "Doliny Śmierci" trwało jeszcze przez wiele lat i ostatecznie oczyszczono ten rejon z min dopiero w 1955 roku, a więc po 10 latach od zakończenia wojny.

Odwołano nas w związku z koniecznością wzięcia udziału w wykonaniu nowych zadań. Wkrótce bierzemy udział w wielu akcjach przeciwko bandom UPA, które począwszy od wiosny 1946 ro-

ku poważnie zaktywizowały swoją działalność. Akcje te stają się coraz poważniejsze, czego dowodem jest to, że już muszą w nich wziąć udział nie tylko pułki piechoty, ale również i my saperzy. Wyjeżdżamy w góry aż nad samą granicę z Czechosłowacją. Jesteśmy częstymi gośćmi we wsiach Krempna, Żydowskie, Polana, Grab, Świątkowa, Konieczna, Tylawa i innych. Wyprawy takie są bardzo męczące. Wdrapujemy się na strome i silnie zalesione góry. Stwierdzam, że jednak o wiele gorsze niż wdrapywanie się, jest schodzenie w dół. Straszą nas, że i tutaj są miny. Wszyscy bardzo szybko niszczymy buty. Znacznie gorsze jest to, że rezultaty są nikłe. Bandy mają nad nami tę przewagę, że o wiele lepiej znają teren, a poza tym mają oparcie w miejscowej ludności, która niejednokrotnie bardzo im sprzyja.

Pewnego razu otrzymałem zadanie zorganizowania we wsi Polana zasadzki. Bandyci dosłownie wleźli na stanowisko naszego karabinu maszynowego typu "MG" /zdobyczny niemiecki/. Saper dyżurujący przy karabinie nie wytrzymał nerwowo i niepotrzebnie zaczął strzelać i co gorsze niecelnie. Banda została spłoszona. Zorganizowany pościg w nocy nic nie dał. Nad ranem natknęliśmy się jedynie na opuszczony w pośpiechu skład broni i amunicji. To było wszystko.

W przerwach między akcjami rozminowywaliśmy w dalszym ciągu. Z grupą rozminowania ponownie udaję się do Jasła. Rzekomo są tam jeszcze miny. Czekają nas rozminowanie kontrolne. Rzeczywiście znajdujemy jeszcze miny nawet tuż przy samej rafinerii.

Zakwaterowano mnie w mieszkaniu znanego i ogólnie szanowanego pracownika rafinerii - przedwojennego działacza robotniczego. Warunki mam doskonałe. Już dawno takich nie miałem. Traktują mnie jak rodzzonego syna.

Szukamy min. Trochę znajdujemy. Zaczynamy przekazywać regiony rozminowane miejscowym władzom. Trzeba udać się do każdej wsi, każdej gminy, w której rozminowywaliśmy i spisać z władzami lokalnymi odpowiedni protokół zdawczo-odbiorczy. Odpowiedzialność przy tym duża. Należy niekiedy przeprowadzić rozminowanie kontrolne, by z czystym sumieniem przekazać ziemię oczyszczoną z min.

Do mojej dyspozycji przybywają nowi oficerowie, którzy

to niedawno ukończyli szkołę oficerską. Są to: ppor. Słowik, chor. Kuncer i chor. Mindur. Wszyscy trzej pełni zapału, energii i inicjatywy. Dopomagają mi w pracy naprawdę solidnie. Początkowo musiałem ich zapoznawać ze specyfiką naszej pracy, później mogłem już stawiać im najtrudniejsze zadania. Starali się wywiązać z nich jak najlepiej.

W tym czasie zakres mojej działalności poważnie się rozszerzył. Musiałem kontrolować i sprawdzać działania poszczególnych podgrup na dużym obszarze obejmującym kilkadziesiąt kilometrów kwadratowych. Objazdy te odbywały się najczęściej konno.

Pewnego dnia, gdy jadłem obiad, przyjeżdża do mnie na kontrolę dowództwo batalionu /dowódca, szef sztabu i kwatermistrz/. Nie zgadzają się na to bym przerwał obiad; chcą sami rozejrzeć się po terenie. Nie wiem dlaczego chcieli zobaczyć gdzie są jeszcze miny. Ponieważ wskazano im jeszcze jeden nierozminowany plac znajdujący się za parkanem rafinerii natychmiast tam się udali i mimo istniejącego ogrodzenia oraz wywieszanej tablicy ostrzegawczej "miny" przedostali się poza ogrodzenie i zaczęli na własną rękę poszukiwania. Dowódca batalionu kpt. Smarżewski, doświadczony oficer - saper popełnia nagle błąd. Bierze do ręki znalezioną przez siebie, nie wiem skąd i przez kogo przywleczoną tutaj angielską minę plastikową, by za chwilę odrzucić ją od siebie. Następuje przy tym silna eksplozja. Przybiegam na miejsce wypadku. Wszyscy trzej leżą zbroczeni krwią. Decyduję się wynieść ich poza teren zagrożony. Każdego z nich biorę na ręce, przenoszę i układam poza ogrodzeniem.

Ponieważ nie dysponowaliśmy własnym transportem samochodowym, przeto łapię na drodze pierwszy zatrzymany samochód ciężarowy, ładujemy nań rannych i natychmiast sam pędzę z nimi z szaloną szybkością do najbliższego szpitala, który znajdował się wówczas w odległych stąd o 30 km Gorlicach. Jechaliśmy z szybkością niedozwoloną, bowiem stan rannych, a szczególnie kpt. Smarżewskiego był beznadziejny. To, że nie stało się nowe nieszczęście w czasie tej jazdy zawdzięczam chyba wprost wirtuozowskiemu opanowaniu kierownicy przez nieznanego mi kierowcę. Nawet nie zdążyłem zapytać go jak się nazywa, tak byłem wówczas zajęty. Rannych przyjęto w szpitalu natychmiast. Ca-

że szczęście... Dzięki temu żyją do dzisiaj chociaż wszyscy trzej są inwalidami.

Będąc w Jaśle otrzymałem kiedyś latem 1946 roku telefoniczne polecenie by dobrać sobie spośród mojej grupy najlepiej prezentujących się żołnierzy, sformować z nich kompanię honorową i następnego dnia udać się wypożyczonymi z rafinerii samochodami do Krosna i przywitać tam na lotnisku generała broni Szeptyckiego. Rzeczywiście punktualnie o wyznaczonej godzinie na płycie lotniska wylądował wojskowy Douglas, z którego wysiadło kilku generałów oraz, sądząc po wieku, również generał Szeptycki.

Po powitaniu otrzymałem polecenie odwiezienia generała do jego posiadłości w Korczynie k/Krosna. Przez drogę, a także w czasie obiadu, na który zostałem zaproszony, nasłuchiwałem się wielu komplementów skierowanych nie tylko pod moim adresem, ale też pod adresem całego mego pododdziału. To była ciekawa rozmowa dwóch żołnierzy: 21-letniego podporucznika, oficera ludowego Wojska Polskiego z prawie 80-letnim generałem broni, odchodzącym w stan spoczynku, byłym oficerem a później generałem armii austriackiej, przedwrzesniowej armii polskiej, a następnie Odrodzonego Wojska Polskiego.

Ponieważ sytuacja dywizji w końcu 1946 roku stawała się coraz mniej pomyślna, wyczuwało się, że wkrótce muszą nastąpić jakieś zmiany. Przede wszystkim dowiadywaliśmy się często o tym, że dywizja, a zwłaszcza jej pułki, poniosły ostatnio duże straty w walce z bandami. Również i w samym Sanoku, dokąd przeniósł się sztab dywizji, sytuacja nie była zbyt pomyślna. Grasował tutaj Żubryd ze swoją bandą. Dookoła Sanoka zaczęły palić się wsie, co noc prawie widoczne były na horyzoncie łuny. W mieście zabito kilku oficerów i żołnierzy. W takich okolicznościach zginął również w Sanoku szef sztabu dywizji ppłk Rajewski. Zdarzały się coraz częstsze wypadki, że jadące z Sanoka pociągi w kierunku Krakowa wielokrotnie były zatrzymywane przez bandy, które rozbrajały bądź też uprowadzały ze sobą oficerów.

W tej sytuacji otrzymałem zadanie udania się ze swoją kompanią saperów do Baligrodu celem stawienia się do dyspozycji ówczesnego dowódcy 34 pułku piechoty ppłk. Jana Gerharda. Mieliśmy działać w składzie tego pułku w charakterze kompanii

przydzielonej. Przed naszym przybyciem pułk ten wspierany był przez pluton saperów naszego batalionu pod dowództwem chorążego Kosteckiego, doświadczonego oficera frontowego.

Zanim wyruszyliśmy do Baligrodu rozmawiałem z Kosteckim. Chciałem się zorientować na czym będzie polegało moje zadanie. Kostecki był oficerem poważnym a przy tym starszym ode mnie o 10-15 lat, toteż miałem do niego dużo zaufania. Opowiedział mi całą prawdę, która zresztą zawarta została po części w książce Gerharda "Łuny w Bieszczadach". Po przybyciu do Baligrodu przekonałem się, że nie kłamał, ani nic nie dodawał. Baligród robił wrażenie grodu warownego.

Mnie z moją kompanią rozmieszczono na samym końcu Baligrodu u wylotu ulicy prowadzącej do Cisnej. Budynek, w którym rozmieściliśmy się był duży i okazały /jednopiętrowy z poddaszem/. Martwiłem się tylko, że drewniany i że w razie czego może szybko spłonąć. Na strychu rozmieściłem nasze dwa niemieckie karabiny maszynowe MG, zaś dookoła domu czaty.

Następnego dnia, po przybyciu do Baligrodu, zostałem wezwany przez pułkownika Gerharda, który postawił mi zadanie. Mieliśmy doprowadzić do stanu używalności drogę z Baligrodu do Wołkowyji /odcinek o długości około 10-15 km/ już od dłuższego czasu w ogóle nie używaną.

Przyznam się, że nie wyobrażałem sobie jak mamy to zrobić, tym bardziej, że nie dysponowaliśmy do tego celu żadnymi maszynami, ani też nie posiadaliśmy nawet dostatecznej ilości ludzi i najprostszego chociażby sprzętu w postaci oskardów, łomów, łopat, taczek itp. Na zadane dowódcy pułku pytanie jak przy takim wyposażeniu mamy to wykonać, płk Gerhard odpowiedział krótko: - od tego jesteście saperami, żebyście rozwiąza-li ten problem sami. Nic mnie to nie obchodzi jak to załatwi-cie - ciągnął dalej. Od tego macie głowę na karku i myślcie jak to zrobić.

Po tej rozmowie wróciłem do siebie. Na razie nic innego i bardziej mądrego nie mogłem wymyślić poza zwołaniem narady swoich dowódców plutonów oraz dowódców drużyn. Myślałem, że może ktoś podsunie mi jakąś mądrą myśl. Niestety nie znalazł się nikt, kto potrafiłby zaproponować coś rozsądnego. Wszyscy doszliśmy do wniosku, że zadanie jest bardzo trudne. Ktoś wypo-

wiedział salomonową myśl: - dzisiaj odpoczywajmy a jutro może znajdzie się jakieś wyjście z sytuacji.

Szczerze przyznaję, że wówczas to mi bardzo odpowiadało.

Gdy tak zastanawialiśmy się, w oczekiwaniu na kolację, nagle gruchnęła wieść, że przed pół godziną, do Baligrodu przywieziono pierwszych zabitych żołnierzy z kompanii piechoty, która wyruszyła przed trzema godzinami z Baligrodu do Wołkowyji. Okazało się, że z kompanii tej, która miała przedostać się tam po raz pierwszy od kilku miesięcy, by dostarczyć odciętym w Wołkowyji siłom WOP oraz wzmacniającym je pododdziałom 34 pułku niezbędną żywność i amunicję, tylko nielicznym udało się wyjść cało. Jedyny dostęp do Wołkowyji był wówczas możliwy tylko drogą okrężną przez terytorium Związku Radzieckiego.

Kompania rozbita została doszczętnie. Bandyci rozprawiali się z każdym żołnierzem w sposób krwawy i bezwzględny. Pierwszych szesnastu zamordowanych, których oglądałem na własne oczy i których udało się przywieźć do Baligrodu jeszcze tego wieczora, było widowym potwierdzeniem tego, jak okrutni i rozjuszeni musieli być napastnicy, skoro aż tak zmasakrowali swoje ofiary.

W nocy zostałem wezwany do sztabu pułku. Tam od szefa sztabu kpt. Pawlikowskiego dowiedziałem się, że jutrzejsze nasze wyruszenie na zadanie zostaje wstrzymane aż do odwołania. Przyznam się, że wiadomość ta ucieszyła mnie bardzo. Owszem drogę tę robiliśmy, ale już nie w tym roku; nastąpiło to znacznie później - wtedy gdy rozpoczęła się akcja GO "Wisła" i gdy w terenie tym znalazło się naprawdę dużo wojska.

W czasie naszego pobytu w Baligrodzie braliśmy udział w wielu zakrojonych na dużą skalę akcjach. Ale niestety bandyci nie chcieli przyjąć otwartej walki z większymi oddziałami. I dlatego też z reguły wielokilometrowe i bardzo męczące rajdy nasze na ogół nie przynosiły większych sukcesów. Spotykaliśmy tylko wszędzie albo spalone i zniszczone wsie lub zalęknioną i przestraszoną ludność. Mieszkańcy tych wiosek przeważnie starcy, kobiety i dzieci, byli nękani bez przerwy. Bandyci ściągali od nich kontyngenty żywności i odzieży, powoływali do swych szeregów młodzież, żądali od nich nie tylko lojalności, ale też - współpracy z nimi. Myśmy o tym wiedzieli i też mieliśmy pre-

tensję. Często nie wiadomo było kto jest naszym wrogiem a kto jest, jeśli nie przyjacielem, to przynajmniej lojalnym.

Po upływie jakiegoś czasu od momentu naszego przybycia do Baligrodu otrzymałem nowe zadanie. Z kompanią miałem udać się do wsi Sukowate /zresztą doszczętnie spalonej i wyludnionej/, by zdemontować pozostały jeszcze tam - wprawdzie opuszczony ale jakimś cudem ocalały - stary młyn. Płk Gerhard dowiedział się, że jakoby banderowcy korzystają z tego młyna i mieli w nim swoje zboże.

Ponieważ kompania moja prawie cała musiała być zatrudniona przy demontażu młyna, otrzymałem zatem w charakterze ochrony - kompanię piechoty. Przed wyruszeniem w teren miałem zrobić zbiórkę swego wojska i złożyć raport płk. Gerhardowi. Na placu przed sztabem ustawiła się orkiestra, zaś na przeciw obydwie kompanie: moja i kompania piechoty. Zwyczaj żegnania z orkiestrą wyruszających na zadanie pododdziałów wydaje mi się, był w tym pułku bardzo przyjemny i godny pochwały. To podnosiło ducha i jakoś zachęcało żołnierzy. Ale niestety uroczysta oprawa to jeszcze nie wszystko.

Gdy przed złożeniem raportu zacząłem dokonywać przeglądu nagle o mało nie rozplakałem się. Moi saperzy jeszcze jako tako wyglądali, chociaż i do ich wyglądu poprzednio miałem poważne zastrzeżenia. Natomiast piechurzy przedstawiali sobą widok nie do pozazdroszczenia. Wielu spośród nich - proszę mi wierzyć - było bez butów. Ci bosy żołnierze, mający na nogach jedynie owijacze, odziani w płaszcze i w czapkach na głowach, stojący na zbiorce zziębnięci i przemoknięci /bowiem w dniu tym jesiennym padał od rana deszcz/, którzy mieli mnie ochraniać, zrobili na mnie wstrząsające wrażenie. Jakże mogło dojść do tego, że żołnierz, który przeszedł nieraz cały szlak bojowy na froncie, tutaj w kraju, przeszło rok po wojnie, żyje w takich warunkach? Ale to były fakty. Częste wypadły w góry, poruszanie się po niezwykle trudnym terenie, stałe nawilgocenie obuwia, paradowanie po krzakach, kamieniach i skałach, zjeżdżanie na piętach ze stromych zboczy - oto co było przyczyną szybszego niż przewidywały normy zużycia podstawowych sortów mundurowych. Ale cóż miałem robić. Wówczas każdy żołnierz był potrzebny.

Dojechaliśmy do wsi Sukowate. Młyn został odnaleziony bar-

dzo szybko. Piechurzy rozstawili swoje stanowiska ogniowe na okolicznych wzgórzach. Niestety droga biegnąca od lasu w kierunku młyna nie została obstawiona.

Nagle w momencie, gdy zaczęliśmy wyciągać jedno z większych i cięższych kół zębatach, przybiega do mnie jeden z saperów i melduje, że w naszą stronę podąża kilka furmanek z banderowcami. Natychmiast przerwaliśmy pracę. Istotnie w odległości około 300-400 m dostrzegliśmy uzbrojoną grupę ludzi. Wielu z nich było w płaszczach koloru khaki. Widocznie zorientowali się, że coś się we wsi dzieje. Furmanki zostały zatrzymane i zaczęło się ich nawracanie. Wielu z nich zeskokczyło z wozów i zaległo w rowach przydrożnych. Myśleliśmy, że będą nas atakować. Rozpoczęliśmy ogień, a następnie rozsypaliśmy się w tyralierę i wyruszyliśmy w ich stronę. Rozpoczęła się strzelanina. Banderowcy widocznie zorientowali się, iż są za słabi aby przeciwdziałać rozbiórce młyna i dlatego wykorzystując jary i zarosła wycofali się do lasu i tam zniknęli jak kamfora.

Jakkolwiek pościg nasz nie doprowadził do rozbitcia bandy, to niemniej jednak zdobyliśmy dwie furmanki wraz z dwiema parami pięknych wierzchowych koni. Zadanie związane z rozbiórką młyna zostało wykonane. Przed wieczorem powróciliśmy do Baligrodu, gdzie przywitała nas orkiestra oraz odebrał od nas defiladę płk Gerhard.

Wkrótce odwołano nas z Baligrodu. Ze swoją kompanią rozmieściłem się w Zagórzcu.

Zadaniem moim było przygotowanie się, a następnie wystąpienie do odbudowy drogi od Zagórzca do Komańczy. Głównie chodziło w tym wypadku o odbudowę mostów na tej drodze. Ponieważ przekraczało to siły mojej kompanii nawiązałem zatem kontakt z zarządami drogowymi w Lesku i Sanoku. Ponadto zawarłem porozumienie z Nadleśnictwem w sprawie uzyskania niezbędnego budulca.

Miałem zamiar rozpocząć od odbudowy mostu na rzece Osławie w Tarnawie Dolnej. Po prostu chodziło mi o to, by rozpocząć od dołu i stopniowo podążać w górę ku Komańczy. Niestety w rejonie Tarnawy nie było dostatecznej ilości materiału, który by się nadawał na most.

Dowiedziałem się, że takie ilości drewna już ściętego ,

zgrupowanego w jednym miejscu i częściowo nawet przygotowanego, znajdowały się w odległej około 25-30 km od Zagórza - Komańczy.

W dywizji załatwiłem przewiezienie tego materiału z Komańczy do Tarnawy. Miałem wykorzystać do tego pociąg pancerny z wolnymi platformami, bowiem inne pociągi tutaj wówczas nie kursowały. Zgodę na to uzyskałem w sobotę. Przewiezienie materiału miało nastąpić w poniedziałek. Ale niestety do tego nie doszło, gdyż w nocy z niedzieli na poniedziałek banderowcy wysadzili na tej linii aż 8 mostów kolejowych. Wprawdzie nie były to duże mosty /przeciętnie po 10-20 m/ niemniej jednak, w wyniku ich zniszczenia, linia ta została sparaliżowana. Komańcza została odcięta od świata zupełnie.

Gdy dowódca dywizji o tym się dowiedział postanowił załatwić z władzami kolejowymi, by te mosty jak najszybciej odbudować. Przecież chodziło o Komańczę i Łupków. Niestety eksperci kolejowi stwierdzili, że odbudowa potrwa co najmniej jeden miesiąc. Dowódca dywizji postanowił użyć do tego wojsko. Cztery mosty, począwszy od wsi Czaszyn w górę miały odbudowywać kolejowe oddziały drogowe, zaś pozostałe cztery na południe od Rzepedzi - moja kompania nieco wzmocniona przez batalion.

Naszą bazą wypadową była zniszczona stacyjka kolejowa w Rzepedzi. Innych zabudowań w Rzepedzi wówczas nie było. Aczkolwiek budynek stacyjny pozbawiony był dachu, to niemniej jednak cieszyliśmy się, że miał ściany murowane.

Mosty odbudowywane przez moją kompanię oddane zostały do użytku po upływie 4 dni od momentu rozpoczęcia prac. Ponieważ zaraz po nas zostały odbudowane również mosty pozostałe, zatem staliśmy się świadkami dokonywania próby ich wytrzymałości. Co za radość zapanowała w mojej kompanii, gdy po wszystkich naszych mostach przejechał pierwszy parowóz, a za nim pierwszy skład wagonów do Komańczy. Wszyscy stwierdziliśmy jednogłośnie, że nie ma lepszej służby niż sapercka!

Po wykonaniu tego zadania zostaliśmy wkrótce wycofani do Sanoka w związku z koniecznością przygotowania się, a następnie wzięcia udziału w nowej akcji - tym razem przeciwłodowej i przeciwpowodziowej. Wkrótce zostałem powołany na stanowisko szefa sztabu 19 samodzielnego batalionu saperów /inaczej-adiu-

tanta batalionu/. W związku z tym przybyło mi wiele nowych obowiązków a jeszcze więcej - kłopotów. Tej zimy /w grudniu 1946 roku/ zostałem przyjęty do Partii.

Pełniąc obowiązki szefa sztabu, zetknąłem się z problemami, z którymi dotychczas nigdy nie miałem do czynienia. Trzeba było być wiecznie jak gdyby na uwięzi, bo przecież jedyną osobą, która miała wówczas pieczętę to byłem ja. W związku z tym musiałem być w sztabie nie tylko rano i późnym wieczorem, ale też w niedzielę i święta. Trzeba było czytać wiele korespondencji, wydawać dyspozycje, przedstawiać dowódcy swoje propozycje, no i najważniejsze - samemu zabawiać się w biurokrację. Początkowo sprawy te bardzo mnie interesowały, jednak później, w miarę przyzwyczajania się do nich, stały się one mniej ciekawe, a nieraz nawet denerwujące. Przeżywalismy bowiem już wtedy pełny rozkwit tego co dzisiaj nazywamy po prostu zwykłą biurokracją. Na wszystko musiała być "podkładka", wszystko trzeba było dokumentnie opisać, na wszystko musiało być pisemne zarządzenie lub pisemny rozkaz. Bardzo były modne wówczas plany i planiki. Przyznam się, że wyprodukowałem wtedy multum najprzeróżniejszych papierów.

Zima z 1946 na 1947 roku była surowa. Zanosilo się na poważną akcję przeciwlodową i przeciwpowodziową. Trzeba było opracować plan obrony poszczególnych mostów na obszarze prawie całego województwa Rzeszowskiego. Jeszcze nie zdążyłem "zapiąć wszystkiego na ostatni guzik", gdy powiadomiono nas, że trzeba już rozsyłać grupy.

Po rozesłaniu grup w teren, musiałem wiele z nich kontrolować. Otóż pewnego razu, chyba na początku marca, wybrałem się do odległego stąd o 8 km Zagórza. Tam ochranialiśmy kilka mostów a między innymi most kolejowy na rzece Osławie. Temperatura tego dnia była zerowa. Gdy znalazłem się na miejscu nic nie wskazywało na to, by zagrażało temu mostowi jakieś niebezpieczeństwo. Jak wykazały nasze obserwacje i badania, lód na rzece przymarzył aż do samego dna, a przed mostem znajdowały się jedynie olbrzymie zwały lodu.

Ponieważ bezpośrednio oględziny mostu, a także zorientowanie się w istniejącej wokół niego sytuacji lodowej nic groźnego nie zapowiadały, po krótkim pobycie tam, uspokojony, wró-

ciłem do Sanoka. Owszem, wiedziałem, że górskie rzeki potrafią nieraz płatać figle ale nie przypuszczałem, iż następuje to tak gwałtownie.

Przejazd mój z Zagórza trwał nie więcej niż pół godziny. Nie zdążyłem wejść jeszcze do sztabu, gdy oficer dyżurny powiadomił mnie, że jestem wzywany natychmiast do telefonu. Dzwoniono z Zagórza. Dowódca tamtejszego pododdziału prosił o udzielenie mu natychmiastowej pomocy. Początkowo myślałem, że żartuje, ale z toku jego rozmowy wynikało, że nie są to żarty. Po prostu chodziło o ratowanie ludzi, bowiem jak mi zameldował, przed chwilą zalany został cały Zagórz. Poziom wody - meldował - podnosi się z każdą minutą.

Zarządziłem załadowanie na samochód kilku gumowych pontonów i z dyżurnym plutonem natychmiast udaliśmy się z powrotem do Zagórza. Tutaj ujrzeliśmy straszną rzecz; leżące w dolinie miasteczko prawie całe znajdowało się w wodzie. Chwilę staliśmy osłupieni nie wiedząc co czynić dalej. Słychać było jedynie szum i plusk wody, porykiwanie krów, straszliwe wycie psów i przeraźliwe kwiczenie świń. Na wielu dachach widziało się ludzi. Dotychczas niewinna zdawałoby się Oślawa przeistoczyła się w potężną rzekę i co gorsza - o niezwykle szybkim prądzie. Przyznam się, że przedtem nigdy nie zdawałem sobie sprawy co to jest rozszalały żywioł i jak należy z nim walczyć. Człowiek, jeśli przedtem nie uczynił nic, by zapobiec jego skutkom, staje się wobec niego zupełnie bezradny - o tym przekonałem się tutaj. Najwyżej można tylko w nieznacznym stopniu łagodzić jego skutki. W tym wypadku mieliśmy do czynienia z powodzią. Zresztą cóż może być groźniejszego niż powódź? Woda niszczy lub zabiera prawie wszystko. I tutaj właśnie obserwowaliśmy to zjawisko.

Natychmiast spuściliśmy na wodę, jakże mizernie wyglądające wówczas nasze pontoniki, uwiązane na linach, by nie porwał je prąd i zaczęliśmy wywozić na nich wszystko to co się dało uratować, a więc ludzi, bydło, konie, świny i wszystko to co stanowiło jakąś wartość. Resztę zabrała woda.

Po jakimś czasie, od momentu rozpoczęcia akcji przez nas, przyłączyła się również do niej i ludność miejscowa dzielnie dopomagając nam w tej jakże wyczerpującej i niebezpiecznej pra-

cy. Akcja nasza trwała przez całą prawie noc aż do czasu gdy zaczęła opadać woda.

Nie pamiętam w tej chwili ilu ludzi uratowano, ile bydła i ile czego wydobyto wówczas z wody. Po prostu nie liczyliśmy tego, bo nie było na to czasu, a przy tym nie było wśród nas nikogo, kto by się mógł tym zająć.

Zziębnięci i przemoczeni "do suchej nitki" ale zadowoleni powróciliśmy dopiero nad ranem do Sanoka na krótki odpoczynek, bowiem tutaj czekały nas nowe zadania.

Zima z 1946 na 1947 rok była dla nas saperów niezwykle pracowita. Też zimy musieliśmy wyjeżdżać jeszcze nie raz by ratować mosty na Sanie, Wisłóce, Wisłoku, Ropie, Jasiołce i innych mniejszych rzekach. Broniliśmy mostów w Krośnie, Jaśle, Dębicy, Rzeszowie, Strzyżowie, Lesku, samym Sanoku i wielu innych miejscowościach, których w tej chwili nie pamiętam, aż nadeszła wreszcie upragniona wiosna.

Do Sanoka ściągnęliśmy mniej więcej w połowie marca. Tutaj czekało nas mnóstwo roboty. Trzeba było uporządkować sprzęt i koszary, przemundurować wojsko, a co najważniejsze rozpocząć szkolenie bojowe.

Jeszcze nie zdążyliśmy dobrze zadomowić się i pozalaćwić wszystko co związane było z okresem wiosenno-letnim, gdy powiadomiono nas pewnego dnia, że do dywizji przyjeżdża na inspekcję generał Świerczewski. W przeddzień jego przyjazdu poczyniliśmy ostateczne przygotowania, bo dowiedzieliśmy się, że generał miał również inspekcjonować i nasz batalion saperów.

W dniu 26-go marca przebywałem w koszarach do późna w nocy, gdyż wiadomo już było konkretnie, że zgodnie z planem opracowanym przez sztab dywizji i rzekomo zaakceptowanym przez generała, należało się go spodziewać w dniu jutrzejszym, to jest 27-go około godziny 7-ej rano.

Niestety o godzinie 7-ej generał Świerczewski nie przybył. Po jakimś czasie poninformowano nas, że pierwotny plan inspekcji został w ostatej chwili przez gen. Świerczewskiego zmieniony i że obecnie generał znajduje się już w Lesku.

W tej sytuacji przystąpiliśmy do wykonywania normalnych codziennych obowiązków. Nagle około godziny 10-tej rano. został ogłoszony w całej dywizji alarm bojowy. Z atmosfery jaka zapa-

nowała w sztabie dywizji wyczuwało się, że nie jest to zwykły alarm, lecz coś poważniejszego. I istotnie, powiadomiono nas wkrótce, że alarm został zarządzony w związku ze śmiercią generała Świerczewskiego.

Byliśmy skonsternowani. W dywizji zapanował stan podniecenia, bowiem nieznanne były jeszcze dokładnie szczegóły śmierci generała i właściwie nie wiadomo było co się za tym wszystkim kryje. Wiadomo było tylko, że zginął on w czasie przejazdu z Baligrodu do Cisnej w wyniku napadu bandy UPA.

Większość batalionu, tak zresztą jak i pozostałe jednostki dywizyjne, wyruszyła w pole. Pościg za bandą, która dokonała tego zbrodniczego czynu trwał bez przerwy prawie trzy dni i trzy noce. Niestety, rezultaty były nikłe. Bandy nie udało się ująć; znikła prawie bez śladu. Dopiero po powrocie do batalionu dowiedzieliśmy się bliższych szczegółów o zaistniałym wypadku. Z wieści jakie do nas docierały wiadomo już było dokładnie, że generał zginął od skrytobójczej kuli, jak prawdziwy żołnierz dowodząc do ostatniej chwili swego życia drobnym oddziałkiem kilku oficerów i żołnierzy.

Śmierć generała Świerczewskiego była jak gdyby zamknięciem jednego etapu walki z bandami UPA /zasilanej zresztą przez świetnie wyszkolone i uzbrojone resztki byłej dywizji SS-Galizien/ i zapoczątkowaniem nowego etapu - ostatecznego rozprawienia się z nimi i likwidacji ich. Rozpoczęła się zakrojona na szeroką skalę słynna akcja "GO Wisła" która objęła swym zasięgiem olbrzymi obszar.

Na teren województwa rzeszowskiego i lubelskiego ściągnięto dodatkowe i dość znaczne ilości wojska oraz wzmocnienia. Chodziło w tym wypadku o pozabawienie band UPA oparcia w miejscowym społeczeństwie ukraińskim, częstokroć sympatyzującym z nimi i wspierającym je materialnie. Obok walki z bandami rozpoczęła się więc akcja pacyfikacyjna, w której między innymi wziął również udział i nasz batalion. Podobnie jak poprzednio zostałem przydzielony z częścią swego batalionu do dyspozycji dowódcy 34 pułku ppłk. Gerharda. Musieliśmy przygotować akcję pod względem technicznym. Trzeba było w ramach tego urządzić punkty zbiórki przesiedlonej ludności, naprawić drogi dojazdu do nich, przygotować stacje załadowania do przyjęcia wzmoczone-

go ruchu, a także wykonać setki innych prac i przedsięwzięć, których nie sposób jest wymienić. Chcę zaznaczyć, że również i w okresie działalności „GO Wisła”, mimo dużego nasycenia tych terenów oddziałami wojskowymi, niektóre jednostki musiały jeszcze toczyć krwawe walki z resztkami band. Niektóre jednostki poniosły przy tym dotkliwe straty.

Z chwilą przesiedlenia z tych terenów kilkuset tysięcy ludzi, działalność band prawie całkowicie ustała. Sporadyczne napady na jednostki wojskowe należały już do wypadków coraz radszych.

Wkrótce "rzut bojowy" naszego batalionu, działający pod moim dowództwem w składzie 34 pułku, przerzucony został do Białogoraja. Ze mną wyjechała spora ilość oficerów batalionu, a między innymi ppor. Kostecki, kpt. lekarz Dąbrowiecki i inni. Tam mieliśmy wziąć udział w likwidacji bandy "Młota". Przejazd batalionu transportem kolejowym via Kraków trwał prawie dwa tygodnie.

Dzięki aktywnej działalności jednostek naszej dywizji, a także działających tu już od dawna miejscowych granizonów, banda została wkrótce rozbita.

Po rozbiciu band zbrojnego podziemia dywizja otrzymała rozkaz przeniesienia się do rejonu Łodzi. 19 samodzielny batalion saperów rozlokował się w Gałkówku k/Łodzi. Pobyt mój w Gałkówku trwał krótko. Zostałem przeniesiony do sztabu OW Poznań na stanowisko pomocnika szefa Wydziału Inż.-Sap. Okręgu.

Tym samym zakończyła się moja działalność w 19 samodzielnym batalionie saperów, działalność trudna, ale jakże bogata w przeżycia i doświadczenia.

VI. TAM, GDZIE PRZESZŁA NOGA SAPERA

Pomimo długiego czasu, jaki dzieli nas od okresu minionej wojny, w chwilach zadumy pamięć ludzka myślami sięga daleko wstecz. Szczególnie z okazji rocznic jak i przy spotkaniach towarzyszy frontowych odżywają wspomnienia. Pozwalają one przypomnieć szereg faktów, które miały swój wpływ na pamiętne wydarzenia. Pozwalają przypomnieć wypadki, które jakże często wywoływały uczucie wielkiej radości, inne przysparzały przygnębienie. Taka była rzeczywistość i takie było życie żołnierza w okresie wojny i pierwszych lat po jej zakończeniu.

Dzisiaj, po upływie 30 lat od tamtych pamiętnych dni, istnieją trudności z dokładnym odtworzeniem wielu faktów i wydarzeń. Część faktów wprost wyleciało z pamięci, jak też i wiele z nich uległo zapomnieniu. Wielu uczestników i świadków wydarzeń już nie żyje. Inne wypadki zupełnie inaczej widzi się dzisiaj i niechętnie powraca się do nich. Niemniej jednak, pomimo upływu tak dużego okresu czasu wiele przeżyć i wydarzeń przetrwało w pamięci do dzisiaj.

W 30-tą rocznicę forsowania Odry i Nysy, a jednocześnie 30-tą rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem hitlerowskim, chciałbym przypomnieć kilka drobnych faktów, które pozwalają odtworzyć przeżycia minionych dni, dni radości i smutku żołnierza. Chciałbym przedstawić kilka epizodów, które mówią o nastrojach jak i o działaniach bojowych byłych żołnierzy - saperów. Wykazują one w sposób prosty, ale jakże wymowny postawę tych ludzi, ich oddanie i wkład do wspólnej walki o wyzwolenie, a następnie o odbudowę kraju. Wspomnienia swoje poświęcę pododdziałowi saperów ze składu 1 Brygady Piechoty Zmotoryzowanej 1 KPanc, 3 plutonowi kompanii inżynieryjno-minerskiej, którym to miałem zaszczyt dowodzić.

Zakres obowiązków żołnierza, a szczególnie sapera na polu walki był bardzo szeroki i różnorodny. Taka już jest jego specjalność. Minowanie, niszczenie i rozminowanie, budowa nowych mostów, przepustów lub wzmacnianie istniejących, naprawa dróg, zabezpieczenie przepraw przez przeszkody wodne i rozpoznawanie inżynieryjne - to typowe zadania wykonywane na co dzień. Sprostanie tym zadaniom wymagało nie tylko umiejętności i dobrej

organizacji pracy, lecz także dużego wysiłku fizycznego, poświęcenia a przy tym opanowania i odwagi. ... "Wzorowo i należyście, z pełnym poświęceniem wykonywane były zadania w czasie walk kwietniowych i majowych przez saperów 1 Brygady Piechoty Zmotoryzowanej". Słowa te, skierowane pod adresem saperów, wypowiedział na uroczystej zbiórce Brygady jej dowódca płk dypl. Iwańczura. Utrwały się one w pamięci wszystkich, a u wielu wycisnęły łzy radości i zadowolenia. Żołnierską pierś, pod osmolonym drelichem rozpierała zasłużona duma, ze spełnionego obowiązku. Duma z wykonania świętego obowiązku wobec matki - Ojczyzny.

"Pierwsi na pole - ostatni z pola" mówiło się o saperach niejednokrotnie w innych pododdziałach Brygady jeszcze i po wojnie. Bowiem wypadki, że piechota nie zdążyła jeszcze zejść z samochodów a saperzy już byli w akcji, usuwając na drogach przeszkody i zapory pozostawione przez nieprzyjaciela powtarzały się często. Wszędzie, gdzie wylaniały się trudności terenowe, gdzie na drodze powstawały przeszkody - tam zawsze było widać saperów. Skutecznie i chlubnie zabezpieczali saperzy walkę swoich pododdziałów do zakończenia działań wojennych. Pluto - nem takich skromnych i cichych żołnierzy, noszących miano sapersera, dowodziłem równo 30 lat temu.

9 maja 1945 roku saperzy 1 Brygady Piechoty Zmotoryzowanej, razem z innymi, dowiedzieli się o zwycięskim zakończeniu wojny. Trzeba tu przyznać, że wieść ta, nie wiem jakimi drogami, dotarła do żołnierzy kilka godzin wcześniej przed oficjalnym jej ogłoszeniem. Koniec udręki i cierpień, koniec niewygód i niebezpieczeństw. Radosny i wesoły był ten dzień. Dookoła słychać było nie tylko okrzyki radości ale i długie salwy ogniowe z wielu rodzajów broni. Był to żołnierski salut zwycięstwa w wykonaniu masowym. Salut bez komendy. Ile trzeba było wysiłku ze strony dowódców wszystkich szczebli, by utrzymać gotowość bojową swoich pododdziałów. Spotykano bowiem jeszcze często drobne i większe grupy nieprzyjaciela, które starały się przebić na zachód i dochodziło do niespodziewanych utarczek.

Po wykonaniu zadań związanych z wyzwolenie Czechosłowacji 1 Korpus Pancerny przeszedł do nowego - pokojowego rejonu dyslokacji umiejscawiając sztab korpusu w Kaliszu. Naszą 1 Bry-

gadę Pie choty Zmotoryzowanej rozlokowano w zespole koszar w Szczypiornie. I tu, nim zdążyliśmy się na dobre rozlokować, ustalić porządek i tok życia okresu pokojowego nadeszły nowe zadania. Saperom przypadło w udziale nowe, nie mniej odpowiedzialne zadanie - rozminowania pól minowych i usunięcie wszelkiego rodzaju niewypałów na olbrzymich połaciach niedawno wyzwolonych ziem. Usunięcie pozostałości wojny i umożliwienie społeczeństwu pokojowej pracy przy odbudowie kraju stało się zadaniem podstawowym. Olbrzymie połacie terenów, pola uprawne i lasy, łąki i pastwiska, obiekty przemysłowe, komunalne i wiele budynków mieszkalnych było zaminowanych.

Część pól minowych była rozpoznana i oznakowana. O istnieniu innych pozwalała domyśleć się tylko dziewicza roślinność, która je kryła.

Ale o wielu polach minowych, dopiero zaistniałe wypadki dawały znać o kryjącej się w ziemi śmierci.

Wokół rozciągały się puste i nie zamieszkałe tereny. Pola czekały na uprawę i swego prawowitego gospodarza. Uprawa roli, a przede wszystkim zbiór plonów na zaminowanych terenach, był nadal niemożliwy. Wniosek prosty - dla saperów wojna nie została zakończona. Walka ta rozpoczynała się od nowa. Codziennie, z narażeniem życia toczyła się zacięta walka o każdy kawałek pola, o każdą miedzę i obsiany zagon czy inny obiekt.

Kompania saperów, w składzie której dowodziłem 3-cim plutonem, po krótkim okresie pracy w rejonie Kalisza, na skutek zmiany dyslokacji, została przerzucona na Śląsk i otrzymała zadanie rozminowania terenów wzdłuż rzeki Odry w powiecie Raciborskim. O ile w rejonie Kalisza większość prac polegała na usuwaniu pozostawionych min i niewypałów o tyle w nowym rejonie oczekiwała nas prawdziwa mozaika minerska złożona z różnego rodzaju pól minowych. Odra była tą przedostatnią z przeszkód wodnych, której czepiał się rozpaczliwie wycofujący się nieprzyjaciel. Tu właśnie do osłony podejść do przeszkody i zamknięcia dogodnego do działań kierunku, ciągnęła się przednia linia obrony nieprzyjaciela. Na jej przygotowanie nieprzyjaciel dysponował czasem około 2-ech miesięcy. Przygotowano zawczasu linie obrony i wykopano transzeje o pełnym profilu. Gęstą siecią ciągnęły się odcinki transzei połączone rowami łą -

czącymi. Schronów bojowych było wprawdzie bardzo mało, gdyż brak grubszego drzewostanu nie pozwalał na ich budowę. Za to szerokie zastosowanie w tym systemie obrony miały miny wszystkich typów i rodzajów, zarówno metalowe, drewniane, szklane, cementowe, jak i przygotowywane we własnym zakresie z wykorzystaniem dostępnych środków zastępczych. Była to zbieranina wszystkich środków minowania mających zastosowanie w omawianym okresie.

W wyniku stoczonych walk często i gęsto jedno pole minowe nakładało się na drugie. Dokumentacji odnośnie ustawianych zapór nie mieliśmy żadnej. A przy tym teren przeorany był lejami po wybuchach bomb, min i pocisków. Stąd była to praktyczna - ciężka szkoła i sprawdzian posiadanych umiejętności dla saperów.

Wspomniałem o napotykanym różnych typach i rodzajach często nieznanym nam min. Trzeba je było rozpoznać, wydobyć z ziemi i rozbroić. Podobnie trudno było przeszkolić saperów w zakresie opanowania zasad i ich likwidacji. Czy to zawsze wyglądało tak jak nakazują dzisiaj wytyczne? Opiszę sytuację kiedy po raz pierwszy napotkaliśmy minę przeciwpancerną typu RMI-43. Wiadomo dzisiaj, iż była to mina łatwa do ustawiania ale trudna do rozbierania. Wydobyto pierwszą minę i przeniesiono na drogę. Usiadłem przy niej a wokół mnie pluton saperów. Po obejrzeniu zewnątrz i upewnieniu się, że zapalników nie ma przystąpiłem do jej rozbiórki. Po odkręceniu drutów usiłowałem zdjąć pokrywę. Przez ciekawość spojrziałem przez szparę do wnętrza i zamarłem w bezruchu. We wnętrzu tkwił czarny, połyskujący zapalnik typu ZZ-42, którego zawlecza była już poważnie wyciągnięta. Wysiłkiem na jaki stać człowieka w takich sytuacjach ścisnąłem pokrywę z kadłubem i przekantowałem minę na bok. Wybuch nie nastąpił. Cały byłem oblany potem. Nie wypowiedziałem ani słowa ale wokół mnie nie było nikogo. Tej miny już z tego miejsca nie ruszono. Ale o tym co się w nich kryje wewnątrz i na jakiej zasadzie działają i jak z nimi postępować od tej chwili saperzy plutonu już dokładnie wiedzieli. Nie muszę tu dodawać do czego może doprowadzić lekkomyślność.

Wszystkie te pola minowe ustawiane były przeważnie w miesiącu kwietniu i z zasady na polach obsianych oziminą lub przy-

gotowanej pod zasiewy roli. A w okresie rozminowania było już lato w pełni. Przed oczyma saperów kołysały się gęste łany pięknego żyta, złociły się kłosa dorodnej pszenicy, a na ugorach falowały bujne chwasty zieleni. Wszystko to jakby wstydliwie zasłaniało i kryło skrzywdzone przez wojnę obszary. Na domiar, wśród łanów dorodnego zboża gęsto sterczały wieże podbitych i spalonych czołgów oraz kadłuby dział pancernych.

W większości duże regiony były martwe, nikt tamtędy nie przechodził i tylko od czasu do czasu dochodziły do uszu ludzi w osiedlach odgłosy wybuchów pojedynczych min, spowodowanych przez przebiegającą zwierzynę. Wiele padłej w ten sposób zwierzyny znajdowaliśmy na polach w czasie rozminowania. W takich to warunkach pracowali saperzy rozbierając ukryte w ziemi zdradzieckie ładunki. Jak należało wyteżać wzrok i jak bardzo trzeba było być ostrożnym i wyczulonym w czasie pracy wiedział doskonale każdy saper. Sylwetka sapera z macką w rękę, kotwiczka u pasa i nieodłączną pepeszka na ramieniu, przedstawiana później na plakatach, budziła wtedy wśród okolicznych mieszkańców nie tylko szacunek ale i podziw.

Ludność i miejscowe władze, pomimo olbrzymich zniszczeń wojennych i wynikających stąd trudności, we wszelki możliwy sposób starały się okazać pomoc i wyrażali swą wdzięczność. Wiadomo bowiem było, że tam, gdzie przeszła noga sapera - gospodarze mogli śmiało wyruszyć w pole po zbiory zbóż, na które oczekiwał głodujący kraj. Jakże często mogliśmy widzieć, że zebrane z rozminowanych pól plony były natychmiast, najczęściej - cieją w sposób ręczny, wymłócony i już następnego dnia pierwsze worki ziarna wędrowały na punkty dostaw. Tam właśnie, w tym to powiecie Raciborskim, widziałem całe rodziny, przeważnie kobiety, z kijami i cepami w rękę przy młóceniu świeżo zebranego zboża. I trzeba tu przyznać, że placki upieczone z tego właśnie zboża, którymi nas częstowano, bardzo nam smakowały i stanowiły atrakcję w porównaniu z otrzymanymi sucharami.

Oprócz pól minowych rozminowaliśmy wiele innych ważnych obiektów. W tym to Raciborzu rozminowując miejską wieżę ciśnień wynosiliśmy z niej, nie licząc min i materiału wybuchowego, tylko 6 półtonowych bomb lotniczych i kilkanaście pocisków artyleryjskich dużego kalibru o wadze około 50 kg. Wszystko to

było połączone w jeden system i wybuch jednego środka powo-
dował wybuch całości.

Przypominam dokładnie tych ludzi, z którymi pracowałem i
którymi dowodziłem. Dzisiaj po 30 latach widzę przed oczyma
tych, którzy z narażeniem życia, wykonywali chlubnie powierzono-
ne im zadanie. Byli wśród nich nowicjusze - ludzie młodzi do
lat 20-tych. Byli też zaprawieni w bojach towarzysze frontowych
dróg, przemierzający pola bitwy od paru lat i liczący sobie
około pięćdziesiątki. Różne ich było przygotowanie i wyszkole-
nie wojskowo-fachowe. Jednak wszystkich cechowała silna wola
i zdecydowanie do sumiennego wypełnienia postawionego zadania.
Po demobilizacji, z wieloma utrzymywałem kontakty, dopóki czas
i zachodzące reorganizacje nie zatarły śladów i adresów. Chętnie
i dzisiaj spotkałbym się z tymi ludźmi, by wspomnieć o
dawnych dziejach i wspólnie przeżytych chwilach. Pamiętam i
wspominam często swego pomocnika sierż. Olszewskiego, dowódców
drużyn plut. Jankowskiego i kapr. Dzubę, którzy między innymi
byli moimi krajanami gdyż pochodzili z tych samych stron. Sa-
perów Jajtuszewskiego, Piotrowskiego, Korcza, Chowawkę, Siwka
i innych. Wszyscy oni byli wzorem odwagi i opanowania, dyscy-
pliny i sumienności w pracy. Na piersiach ich widniały nadane
im wysokie odznaczenia bojowe.

Prace przy rozminowaniu były nie tylko ciężkie ale i nie-
bezpieczne. Przecież dla saperów wojna trwała nadal. Śmierć
czyhała na każdym kroku. Największe niebezpieczeństwo tkwiło
w źle pojmowanej odwadze - brawurze. Brawura i lekceważenie o-
bowiązujących zasad były najczęściej przyczyną wszystkich wy-
padków. Pomimo opanowania i posiadanych umiejętności śmierć
wyrwała z naszych szczupłych szeregów st. sap. Zmorę i sap. Oso-
wskiego. Odniósł rany i nie wrócił do nas sap. Gołąb. Polegli
oni na polu chwały wykonując powierzone im zadanie bojowe. Ich,
jak i wielu innych, włożony trud, wykazywane bohaterstwo i od-
wagę jakie trafnie ujął nie znany mi dzisiaj autor, gdzie w
zamieszczonym w gazecie wojskowej wierszu pisał:

"Pod ogniem idą wciąż saperzy,
Im śnieg po pas, po piersi woda.
I w dzień, i w noc ... któż trud ich
zmierzy.
Za śmierć i krew czy jest nagroda?"

Parę słów o sprzęcie do rozminowania. Była to łopatką, macka, kotwiczka ze sznurem i często zdobyczny nóż. Wykrywacze min były niesprawne /brak baterii lub uszkodzone/.

Po wykonaniu zadania na korzyść kopalni "ANNA" w dziale maszynowym kopalni wyposażono nas we właściwie wykonany sprzęt podstawowy z uwzględnieniem naszych potrzeb i propozycji.

Usuwaliliśmy dziennie setki min i pocisków. Ludzie pracowali cicho i spokojnie. Codziennie przekazywaliśmy do uprawy coraz to nowe pola i łąki. Często spotykałem, szczególnie w miejscowościach Łang i Markowicach /pow. Racibórz/, jakże typowe i wymowne dla tamtego okresu czasu obrazki. Saperzy kończą zdejmowanie ostatniego rzędu min w rozpoznanym polu minowym, a już gospodarz z kosą i rodziną do wiązania zboża stał na drodze by natychmiast wkroczyć na pole i rozpocząć zbiory. Tak wyglądała praca w wielu rejonach kraju i tak odbywały się pierwsze zbiory w niepodległej Polsce.

Nie składano oficjalnych podziękowań za rozminowanie pola czy innego obiektu. Nie był to czas do opisywania przebiegu pracy w prasie. Mówiło się i pisało przede wszystkim o ogólnokrajowej akcji rozminowania. Nie wymieniało tam nazwisk ani indywidualnych osiągnięć. Słowa dowódcy wypowiedziane na codziennym wieczornym apelu "dziękuję w imieniu służby za dobrą pracę" były podsumowaniem zakończonego dnia. Prawdziwą nagrodą dla tych żołnierzy, nagrodą która upoważniała do dumy, było spojrzenie, że tam gdzie czaiła się utajona śmierć, tam gdzie jeszcze wczoraj widniały złowieszcze napisy "MINY", "ZAMINOWANO", chłop wkraczał na pole i rozpoczynał zbiory a robotnik do fabryki, której kominy wkrótce zaczynały dymić. Na zbiory z pól i na produkcję z fabryk oczekiwał wyniszczony wojną kraj. Tak wyglądał skromny wkład pojedynczego saperza przy budowie fundamentów wyzwolonej Ojczyzny.

Dzisiaj, gdy odbudowano kraj, gdy powstały nowe fabryki-giganty i całe miasta, gdy weteranów walk zastępuje nowe, młode, wychowane w Polsce Ludowej pokolenie, każdy z Was towarzysze frontowych dróg może być dumny ze swojej pracy. Może śmiało spojrzeć na przebytą drogę i ma nie tylko prawo moralne ale i obowiązek postawić przed nowym pokoleniem żądanie. "Przejmując

po nas spuściznę, każdy na swoim odcinku, rozwijajcie i dalej doskonalcie rozpoczęte dzieło. Budujcie drugą Polskę dla wszystkich ludzi pracy, by człowiek był w niej najwyższym ideałem, a jego potrzeby były nakazem ogólnym. Róbcie to lepiej, szybciej i wydajniej". Zwracam się do Was młodzi towarzysze w mundurach, z oznaką saperską na kołnierzu, doskonalcie wszechstronnie swój fach i bądźcie zawsze gotowi do wykonania każdego zadania jakie może być nam postawione. A potwierdzeniem tego nakazu niech będą słowa poety, jakże często niegdyś powtarzane przez nas, a które są nadal aktualne.

"To, co w granicę będzie wryte.

To, co się stanie kodeksem dziejów.

W powietrzu nocy, we mgle przed świtem.

Wyście pisali krwią i nadzieją".

/M. JASTRUN/.

VII. A JEDNAK ŻYJE

Tak już bywa, iż w życiu każdego prawie człowieka zacierają się w pamięci różne odległe fakty i wydarzenia. Zapomina się zazwyczaj te okresy swego życia, które przeszły bez echa. Uważa się je bowiem za normalne, tak po prostu zwyczajne. Doskonale jednak pamięta się te epizody z pracy i służby, szczególnie z okresu młodości, które związane były - albo z bardzo dobrym okresem naszego życia o czym świadczą np. wspomnienia niektórych starszych ludzi "nie ma jak to panie było przed wojną", lub też te, które utkwily nam w pamięci ze względu na to, iż były ciężkie, trudne i niebezpieczne, powodujące niekiedy nawet pewne wstrząsy psychiczne. Do tych ostatnich właśnie ograniczę swoje dość luźne wspomnienia i refleksje z lat służby w wojskach inżynieryjnych. Dotyczyć one będą głównie pierwszych lat okresu powojennego, w którym rozminowanie kraju, budowa obiektów drogowych, akcje przeciwlodowe i walka z bandami wrogiego podziemia były przedmiotem codziennej prawie działalności wojsk inżynieryjnych. Wykonywanie tych zadań miało doniosłe znaczenie dla umacniania władzy ludowej oraz budowy i zagospodarowania zniszczonego kraju.

Rok 1945 zapisał się w mojej pamięci, jako pierwszy rok samodzielnej pracy, gdzie jako dowódca plutonu, a następnie kompanii saperów, brałem udział w rozminowaniu terenów i budowie mostów na Mazurach oraz w województwie białostockim.

Mój 49 pułk piechoty, wchodzący w skład 14 dywizji piechoty, brał wówczas udział w akcji żniwnej w rejonach: Iława, Lidzbark Warmiński, Dobre Miasto oraz w innych powiatach. A saperzy pułku, zaangażowani zostali do prac związanych z budową mostu i rozminowaniem terenu. Pamiętam jak dzisiaj, że pewnego dnia wraz z plutonem saperów zostałem, w trybie alarmowym, skierowany w rejon na płn. od Lidzbarka w celu budowy mostu drewnianego, niskowodnego na rz. Łyna. Uprzedni most został zerwany na skutek dużego spływu wody. Początkowo nie mogłem zorientować się skąd taki pośpiech. Już w krótko jednak okazało się, że jeden z batalionów piechoty, który pojechał w teren ma uniemożliwioną drogę powrotu do swego miejsca postoju, ponieważ w pobliżu nie było innych przepraw. Już w czasie drogi

- podczas jazdy myślałem sobie - rozkaz to jest, ale jak będzie z tą budową. Bo chociaż dysponowałem sprzętem do budowy /topory, piły, kilofy, kuźnia polowa, łopaty/, to nie bardzo potrafiłem odpowiedzieć na pytanie: co dalej. Zdawałem sobie sprawę z faktu, że dotychczas nie zbudowałem samodzielnie żadnego mostu, nie mówiąc już o planowaniu i kierowaniu jego wykonaniem. A wiadomości z tego zakresu były nadzwyczaj skromne, gdyż ograniczały się jedynie do tego, co nauczono mnie trochę po polsku, a trochę po rosyjsku w oficerskiej szkole w Przemyśle /w której kurs trwał sześć miesięcy/. Do dyspozycji miałem jeszcze broszurę /w języku rosyjskim/ o budowie mostu zawierającą odpowiednie, bardzo zresztą przydatne, tabele. Doskonale rozumiałem, iż nie mogę tracić ducha, gdyż powodzenie całej akcji będzie zależało od mojej rozwagi, sprytu czy też pomysłu /jak mawia Wiech/. Oczywiście na miejscu nie zastaliśmy żadnego materiału do budowy, trzeba go było szukać w lasach, tartakach itp. Największe trudności miałem z budową podpór /tak jest zresztą i dzisiaj w budownictwie/, bo i prąd był dla nas trochę za szybki, i woda za głęboka. A do tego, to bicie pali tzw. "babą", z odpowiednio wysokich pomostów, wymagało nie lada akrobacji i wysiłku "mocnych chłopów". Ale fakt pozostał faktem, że most o nośności 16 t. i długości około 30m wykonano. Można co prawda, mieć pewne wątpliwości co do jego architektury i estetyki wykonania /zważywszy dzisiejsze wymagania/, jednakże jego wartości użytkowe były bezsprzeczne, świadczyła o tym przeprawa batalionu piechoty, który co prawda ostrożnie i powoli, jednak osiągnął drugi brzeg. Muszę jednak ujawnić, iż konstruktor, podczas przejazdu samochodów i furmank, drżał jak liście na drzewach /gdyby to było dzisiaj, to zawał murowany/, w obawie - czy to się wszystko nie rozwali i wytrzyma obciążenie, zwłaszcza że pale w podporach mostu miały pewne odchylenia. Należy jednak zgodnie z prawdą stwierdzić, że z mostu tego korzystano przez długi okres czasu, nawet jeszcze po naszym wyjeździe. Aby być w zgodzie ze swoim sumieniem pragnę dodać, że zadanie z plutonem wykonałem tylko dzięki temu, iż miałem naprawdę dobrych i oddanych ludzi. Byli prości, ale nadzwyczaj pracowici, trzeba było w nich wierzyć, dawać im inicjatywę i odpowiednio kierować, bo doświadczenie i praktykę mieli jeszcze z okresu wojny.

Aby zachować pewien ciąg tematyczny związany z budową mostu dodam, iż miałem jeszcze jedną ku temu okazję w tym samym roku w jesieni. Było to chyba w Brańsku w województwie białostockim, gdzie wówczas pułk prowadził walkę z bandami. Otóż w tymże właśnie Brańsku z istniejącego mostu został - przez "dużą wodę" - zerwany pokład. Pozostały same podpory i części dźwigarów - dość dziwna i mało spotykana sytuacja. Sprawa była o tyle prosta, że ustawienie części dźwigarów i pokładu na gotowe podpory nie sprawiało żadnych trudności. Pokład ułożyliśmy już w ciągu około 3 godzin i most w godzinach popołudniowych był gotowy do eksploatacji. Wspominam o tym fakcie, ze względu na dość zabawną sytuację, jaka miała miejsce następnego dnia z rana. Otóż gdzieś około godziny 8.00 rano wezwano mnie do sztabu pułku i zapytano, dlaczego moi saperzy pobierają tak zwany haracz /rogatkowe/ za korzystanie z mostu od rolników, którzy przyjeżdżają z wiosek na targ do Brańska. Byłem mocno zdziwiony tym zarzutem i od razu zaprzeczyłem, bo przecież rano sprawdzałem stan osobowy plutonu i wszyscy byli na miejscu. Potem okazało się, że od świtu rzeczywiście jacyś ludzie, przebrani w żołnierskie mundury, brali od gospodarzy co się dało za zbudowanie mostu, jakoby na jego pokrycie. Przeprowadzona obława w celu schwytania tych spryciarzy z band podziemia niestety spełzła na niczym, ulotnili się szybko, a może ktoś ich na czas ostrzegł. Wykrycie prawdy okazało się niemożliwe wobec tego konsekwencji żadnych nie wyciągnięto bo i wobec kogo?

Wczesną wiosną, latem i jesienią jednym z głównych zadań jednostek wojsk inżynieryjnych było prowadzenie rozminowania kraju. Pierwszy mój chrzest bojowy, spotkanie z minami - nastąpił w rejonie Lidzbarka Warmińskiego. Było ono dla mnie osobiście dość niezwykle i osobliwe. Pewnego dnia otrzymałem od dowódcy 49 pp płk Roberta Satanowskiego^{x/} zadanie dotyczące usunięcia min ustawionych w pobliżu Lidzbarka Warmińskiego. Przybliżonych rejonów zaminowania ani bliższych szczegółów mi nie podano. Formularzy pól minowych, zarówno niemieckich, jak i ra-

x/ Postać na ogół znana na Lubelszczyźnie. W czasie okupacji był dowódcą zgrupowania czy podgrupy partyzantów p.n. "Jeszcze Polska nie zginęła". Po wojnie był dyrygentem opery poznańskiej. Pamiętam, iż miał inklinacje muzyczne, wybierano mu kwaterę z instrumentami itp. Ciągłe pisał nuty."

dzieckich, również nie było. Wyruszyłem więc z plutonem na poszukiwanie min prawie "w ciemno". Moja znajomość sytuacji wojennej w tym rejonie, w sensie położenia wojsk /gdzie i kto z kim walczył, rubieże przednich skrajów itp./, co ułatwiłoby poszukiwanie min, była znikoma. Powiedziano mi tylko, że miny powinny być wokół Lidzbarka. Ludności miejscowej, która mogłaby udzielić mi informacji prawie nie było, tylko co zaczęli zjeżdżać repatrianci z Wileńszczyzny, Grodna i innych terenów wschodnich /był to czerwiec lub lipiec 1945 roku/, a nieliczni miejscowi tak byli zastraszeni, że często chowali się przed wojskiem. Ale traf chciał, że niedaleko, zaraz po wyjściu z miasta w czasie marszu, zobaczyliśmy jak z drogi do lasu ucieka jakiś cywil, młody człowiek. Po jego zatrzymaniu i wylegitymowaniu, a był to miejscowy Niemiec, zapytałem go czy nie wie, gdzie są miny. On na to wskazał ręką rejon odległy o jakieś 200-300 m. I rzeczywiście - po ostrożnym podejściu do tego rejonu zobaczyłem ciąg długich metalowych pudełek ustawionych na powierzchni ziemi z pewnym odstępem obok siebie i do tego - w trzech rzędach. Byłem zdumiony, że po pierwsze - są to miny w ogóle mi nie znane, a po drugie - o dziwo, znajdowały się nie pod ziemią, lecz na wierzchu. W tych warunkach postanowiłem rozszyfrować zagadkę i unieszkodliwić /rozbroić/jedną z min zachowując odpowiednie środki ostrożności. Polegało to na tym, że wpierw osobiście, z ukrycia, przy pomocy kotwiczki i liny ruszyłem ją z miejsca o kilka metrów, by sprawdzić czy nie ma ukrytych dolnych lub bocznych zapalników. Pluton w tym okresie pozostawał z dala obserwując moje poczynania - nie mogłem przecież narażać innych ludzi za duże niebezpieczeństwo. A niebezpieczeństwo zaczęło się od chwili, gdy mając minę obok siebie, zacząłem ją rozbrajać przy pomocy obciążków i innych środków pomocniczych. Aby określić charakter min postanowiłem zdjąć pokrywę przez przecięcie drutów, którymi była owiązana. Gdy to czyniłem, pot lał mi się z czoła, a ręce drżały. Po delikatnych zabiegach i zdjęciu pokrywy miny jasne stało się dla mnie - na jakich zasadach działa /wybucha/, jakie ma zapalniki /takie już spotykałem/ itp. Jej rozbrojenie było już teraz proste; wszystkie dane o tej minie, wraz z eksponatem, przesłałem do szefa saperów dywizji, aby inni saperzy nie byli zaskoczeni

i mogli je likwidować bez dużego ryzyka. Jednocześnie przeprowadziłem szkolenie z plutonem o zasadach działania i sposobie rozminowania miny przeciwtransportowej RMI-43. Dalsze rozminowanie terenu nie nastęczało większych trudności, bo miny te albo niszczyliśmy, niekiedy nawet grupowo, przy pomocy kostek trotylu ściągając je kotwicami w jeden rejon, albo w wypadkach szczególnych - rozbajaliśmy je na miejscu.

Do innych sytuacji związanych z rozminowaniem, które szczególnie zapisały się w mojej pamięci, zaliczam wydarzenia połączone z nieszczęśliwymi wypadkami, które były również moim udziałem. Pragnę między innymi ujawnić pewne fakty, jak to trzykrotnie dzięki wyjątkowemu szczęściu, unikałem śmierci, bądź ciężkiego kalectwa. Czasem sam się dziwię, że jednak żyję.

Zacząło się od tego, że w okresie kontroli akcji rozminowania prowadzonej w 51 bsap /18 DP/, wyjechałem z kompanią do pracy w rejon Bakalarzewo lub Raczki. Z chwilą przybycia na miejsce, korzystając z posiadanych formularzy pól minowych, miałem przystąpić do szczegółowego oznaczania granicy pola minowego wiechami, wyznaczenia rzędów min, a następnie ich umiejscowienia.

Z dokumentów, którymi dysponowałem, wynikało, że w tym rejonie powinno znajdować się tylko kilkanaście różnych min, bowiem resztę już rzekomo usunięto. Byłem trochę zdumiony widokiem jaki zastałem, bo na moim rzekomym polu minowym, pasły się krowy i widać było wyraźne ślady przejazdu furmanek. Miejscowi ludzie mówili, że tu w zasadzie min nie ma, choć sporadycznie trafiały się wypadki ich wybuchów. Gdyby nie kontrola, którą mi w sztabie awizowano, prawdopodobnie wrócilibyśmy do rejonu dyslokacji lub opalalibyśmy się, jednak mając na względzie zapowiedzianą wizytę przełożonych, postanowiłem rozejrzeć się w terenie. Na razie ogłosiłem dla kompanii przerwę. W trakcie wstępnych prac rozpoznawczych, jakie prowadziłem wspólnie z jeńcem niemieckim /a mieliśmy w tym czasie w batalionie sporo jeńców/, polegających na liczeniu dołków po minach pozostałych po ich wyciągnięciu zauważyliśmy, że zgodnie z systemem ich ustawiania, zawartym w formularzu, brakuje kilku dołków. Jeniec, idący niedaleko mnie, zauważywszy brak dołku po "Spring-minie"/SMi-35/, który powinien znajdować się w odległości 0,5 m od dołku po

minie przeciwpancernej, /drewnianej typu "Holzmine"/ zaczął go szukać. Podeszedłem do niego na odległość około 1,0 metra i w tym momencie usłyszałem syk, więc natychmiast upadłem. Zaraz potem nastąpił wybuch. Czuję, że coś jakby przeleciało po mojej furazerce. Później nieco, rozglądając się dookoła, ujrzałem, że krowy pasące się w pobliżu, widocznie porażone odłamkami, szybko uciekały. Gdy po chwili oszołomienia wstałem, zobaczyłem, że Niemiec leży na ziemi i jest ranny, natomiast moi saperzy myśląc, że jestem zabity lub ranny, biegli w kierunku pola minowego. Wówczas strzałem z pistoletu i ruchami rąk powstrzymałem ich zapędy bojąc się, by nie weszli na miny. Zacząłem siebie oglądać, po prostu nie wierząc, że ocalałem. Zauważyłem, że mam przedziurawioną furazerkę i wyrwaną część munduru na piersi. Porwany mundur szybko zdjąłem myśląc, że dostanę odłamkiem w klatkę piersiową. Po zdjęciu munduru okazało się, że jestem zdrow i cały, tylko prawie nic nie słyszę. Jak się okazało później, po upływie kilku dni i ta dolegliwość minęła. Zdałem sobie wówczas sprawę, że życie uratowałem tylko dlatego, że w ułamku sekundy, upadłem na ziemię w tak zwanym polu martwym^{x/}. Stąd nasuwa się dzisiaj wniosek, że jedynie znajomość zasad działania min i odpowiednich sposobów postępowania z nimi uratowały mi życie, oczywiście przy odrobinie szczęścia, które zawsze jest potrzebne.

Druga sytuacja, w której uratowałem nie tyle życie ile swoje nogi miała miejsce wówczas, gdy penetrowaliśmy, przy pomocy macek czyli tzw. szczupów terenu, poszukując w nim min. Szliśmy wtedy szeroką tyralierą - przez teren, w którym rzekomo miały się one znajdować. Po jakiejś godzinie dźubania macką w ziemi /och, jakie to nudne/, powiedziałem, że tu ich chyba nie ma i dałem rozkaz przejścia dalej o jakieś 200 m już bez żadnego sprawdzenia terenu. Ponieważ sam byłem nieco w przodzie, więc zrobiłem może kilkanaście kroków i naraz poczułem, że na coś nadepnąłem, jednocześnie słysząc jakby trzask. Natychmiast zatrzymałem się, po czym odchyliwszy ostrożnie darninę, zobaczyłem drewnianą minę przeciwpiechotną /radziecką/ typu PMD-6. Oka-

x/ Mina ta wpierw wyskakuje na wysokość około 1-1,5 m, a następnie się rozrywa siejąc odłamkami /podobnie jak mina OZM-3/.

zało się, że przy nacisku, iglica spracowała, lecz detonator jednak nie wybuchł. Ponadto kostka trotylu też się rozsypała. Był to bowiem teren nieco podmokły. Zrozumiałem wówczas, że przy rozminowaniu, nie można się nigdy spieszyć i że trzeba mieć przy tym wiele cierpliwości, nawet w przypadkach "bezna - mętnego", długiego szukania w ziemi. Potem okazało się, że w tym rejonie znaleźliśmy jeszcze kilkadziesiąt min.

Trzeci wypadek, w którym omal nie straciłem życia miał miejsce w następujących okolicznościach. Kompania saperów/a raczej jej część/ 51 batalionu saperów, którą wówczas dowodziłem wracała samochodami z rozminowania pól minowych znajdujących się w powiecie augustowskim zwłaszcza wzdłuż kanałów, w rejonie Czarnego Brodu i w innych miejscach. W trakcie przejazdu samochodem po drodze używanej już od kilku miesięcy, po przejechaniu kanału /śluzy/, na samym zakręcie, w pobliżu wioski Suchorzeczka, nastąpił silny wybuch. Zdażyłem jakoś bezwiednie krzyknąć: mina! I pamiętam, jak moja głowa z tułowiem przesunęła się gdzieś ku dołowi. Za chwilę usłyszałem krzyki, jęki i wołanie o pomoc. Widziałem jak, z solidnie "pokiereszowanej" już szoferki z trudem wydostaje się kierowca, z którym razem jechałem. Ja sam czułem ogromny szum w głowie i silny ucisk klatki piersiowej, odczuwałem brak powietrza, ponieważ tylna część samochodu, po najechaniu kołem na minę, została rzucona do przodu. Pierwszą moją czynnością wykonaną zupełnie odruchowo było sprawdzenie - czy mam całe ręce i nogi, co uczyniłem poprzez ruchy palcami u rąk i nóg. Okazało się, że wszystko w porządku. Ponieważ dusiłem się z braku powietrza, zawałem o pomoc, którą już w tym czasie udzielali innym saperom mniej poszkodowani oraz ludzie, którzy przybiegli z pobliskiej wioski. Kiedy wyciągnięto mnie spod tego żelastwa, zobaczyłem niesamowity widok: kilku saperów leżało ciężko rannych, wielu zaś odniosło lekkie obrażenia. Niektórzy wskutek silnego podmuchu znaleźli się nawet w jeziorze znajdującym się tuż przy drodze, bądź zawiśli na przydrożnych drzewach. Jednym słowem istne pobojowisko. Ci bardziej poszkodowani zwracali się do mnie z wołaniem o pomoc lub z zapytaniem o to czy przeżyją. To było okropne. Z jednej strony - nie mogłem im wiele pomóc, z drugiej zaś nie miałem serca powiedzieć im prawdy o stanie w ja-

kim faktycznie się znajdowali. Rezultat tego wypadku był żałosny gdyż, pomimo natychmiastowej pomocy - trzech saperów zmarło w drodze do szpitala bądź już w szpitalu, a kilkunastu było rannych. W zasadzie tylko kilku ludzi wyszło z wypadku zupełnie bez obrażeń w tym mój dowódca plutonu ppor. W. Obacz, kierowca, chyba trzech saperów i ja. Sprawa tego wypadku odbiła się wówczas głośnym echem w wojskach inżynieryjnych. Przeprowadzone natychmiast wszechstronne dochodzenie ustaliło, że mina celowo została ustawiona na drodze przez bandy UPA bądź inne, które w tym czasie przedostawały się z południa Polski na Mazury, przechodząc przez te rejony. Były one ścigane i atakowane przez wojsko, siły urzędu bezpieczeństwa i milicji. Muszę jednak wyznać, że mój udział w tym zbiorowym nieszczęściu miał dla mnie również i pomyślnie skutki albowiem wykluczył moją osobę z kręgu podejrzanych jako głównego winowajcę. Fakt ludzkiego nieszczęścia podwładnych mocno przeżyłem wraz z innymi kolegami. Przez 10 dni nic nie jadłem, tylko od czasu do czasu piłem wodę. W nocy miałem przytłaczające sny, przeżywałem ten wypadek wielokrotnie. Po tym zdarzeniu ówczesne władze miejscowe, jak też ludność Augustowa, która była nadzwyczaj zżyta z saperami /tak jest i do dziś/, zorganizowała uroczysty pogrzeb. Jeśli kiedykolwiek jestem w Augustowie i składam kwiaty na grobach poległych saperów, to stwierdzam, że są one stale pielęgnowane i ładnie utrzymane, a często też przybrane kwiatami. Moja wdzięczność dla ludzi ziemi augustowskiej jest ogromna. Jeśli ich bliżej poznacie, na pewno będziecie mieli takie samo zdanie. Takiej życzliwości od ludności dla saperów 51 bsap, zwłaszcza w ciężkich chwilach, a było ich wiele, można oczekiwać tylko od dobrych przyjaciół.

Wśród wielu epizodów związanych z ochroną mostów przed spływającymi lodami, pragnę przedstawić tylko jeden, który moim zdaniem zasługuje na wyeksponowanie, ze względu na dość osobliwe okoliczności.

Był chyba marzec 1947 r. Mojej opiece został oddany pod ochronę tymczasowy drewniany most kolejowy w Łapach, który był tak słaby, że cały się chwiały podczas przejazdu pociągów, każdorazowo pilotowanych przez kolejarzy. Komisja oceniła zdolność jego utrzymania przed lodami na około 40%. Zima tego

roku była sroga i lód na rzece Narew był gruby. W okresie organizacji prac, przed akcją lodową, zrobiłem z kompanią wszystko co należało, a między innymi: spowodowałem wykonanie odpowiednich przerębli powyżej i poniżej mostu, podzieliłem siły i środki do zwalczania spływu kry itd. Trochę niepokoiły mnie wraki zniszczonego mostu stalowego, które leżały w wodzie poniżej istniejącego mostu drewnianego, a które mogły być powodem tworzenia się zatorów lodowych. Mieliśmy jeszcze parę spokojnych dni oczekiwania, aż tu nagle w niedzielę gdzieś około godziny 11.00 lód ruszył. Pamiętam te chwile dokładnie dlatego, że sporo cywilów idących bądź wracających z kościoła, przechodziło przez most, a niektórzy przypatrywali się naszej pracy. Jak tylko pierwsze ogromne kry lodowe niespodziewanie ruszyły, to cały most zadrżał i mocno zatrzęszczał, co spowodowało, że ludzie natychmiast zaczęli go w panice opuszczać. Sam stojąc obok innych również poczułem się nieswojo, tym bardziej gdy zobaczyłem, jak jedna z izbic, na której siedział saper z bosakiem, została zdruzgotana i wypchana prawie do góry na most. Ledwo zdołaliśmy chłopaka złapać.

W tej groźnej sytuacji, do akcji przeciwlodowej, użyłem wszystkich saperów. Podpływające ogromne tafle lodu były w większości rozbijane i kruszone przy pomocy materiału wybuchowego znacznie wcześniej, bo już na podejściu do mostu. Walka o utrzymanie mostu dopiero się rozpoczęła. Po pewnym okresie czasu stwierdziłem, że poniżej mostu, w odległości około 20-30 m, w rejonie wraku, tworzy się potężny zator lodowy, który hamuje spływ lodów. W tym też okresie zostałem powiadomiony o nieoczekiwanej pomocy, w postaci kompanii saperów radzieckich stacjonujących gdzieś w pobliżu Białegostoku. Bardzo się z tego ucieszyłem. Najstarszy z oficerów radzieckich, chyba szef saperów dywizji, w stopniu podpułkownika, zaproponował, iż w pierwszej kolejności, należy zlikwidować zator utworzony poniżej mostu i sam podjął się tego zadania. Wsiadł do łódki gumowej /LMN/, wziął kilkanaście skupionych ładunków MW i wypłynął w kierunku zatoru. Już po chwili pobytu na wodzie wpadł w taki wir, iż prąd zniósł go pod sam zator, a następnie wyrócił łódkę. On sam wpadł do wody. Zdażył jednak jeszcze złapać się za linkę służącą do przenoszenia łodzi. Zauważyliśmy, że podpły -

wające kry i rwąca woda, spychają człowieka wraz z łódką pod zator. Nastąpiła ogromna konsternacja. Wszyscy jakby osłupieli i nikt, ani z naszych saperów ani radzieckich, na razie nie wiedział co robić i w jaki sposób udzielić pomocy ginącemu czło-
-wiekowi. Po chwilowej rozterce wraz z innymi zdecydowałem się działać. Wezwałem do siebie st.sap. Wrochnę i po wzięciu ładunków MW, koła ratunkowego, bosaków itp., wypłynęliśmy metalową łódką na pomoc. Po dopłynięciu do zatoru, mocno oparliśmy się bosakami o jego ścianę, a następnie szybko wyciągnęliśmy naszego towarzysza broni, który był już u kresu sił. Zaraz jednak zauważyliśmy grożące nam niebezpieczeństwo w postaci podpływających tafli lodu. Wówczas wziąłem do ręki zapalnik szturmowy i podpaliłem jednocześnie 3 ładunki, każdy po 1 kg wagi i ko-
-lejno, możliwie daleko zacząłem rzucać je na podpływający lód. Wybuchy były niesamowite, nasze twarze stały się czarne i pocentkowane ale lód został w dużym stopniu skruszony.

Pierwsze natarcie lodowe zostało odparte. Niestety, jakaś tam kolejna pływająca kra tak mocno uderzyła w naszą łódkę, że wyrzuciła nas na skraj zatoru. Nie widząc innego ratunku przesu-
-waliśmy się nadzwyczaj ostrożnie po zatorze dążąc do brzegu. W przodzie z bosakiem szedł st.sap. Wrochna, ja zaś popychałem łódkę z tyłu. Parę razy wpadaliśmy w jakieś szczeliny, ale trzymając się łądzi udało się nam wydostać z wody na wierzch. Po pewnym czasie i po wielkim trudzie, dobrnęliśmy do brzegu przy oklaskach obserwujących nas ludzi. Z całą satysfakcją mu-
-szę powiedzieć, że i most również został ocalony. Dla mnie oczywiście największą radością było uratowanie towarzysza bro-
-ni oraz przyjazd delegacji radzieckiej i naszych przełożonych, a także żony i córki uratowanego oficera. Były kwiaty, podzię-
-kowania i łzy. Uważaliśmy, że dobrze spełniliśmy swój żołnier-
-ski i ludzki obowiązek. Były co prawda potem nagrody, odzna-
-czenia i fetowanie, ale już nie to było najważniejsze, chociaż nie można powiedzieć, że dla nas niemiłe.

Spośród wielu przeżyć jakie miałem w tamtym okresie naj-
-bardziej utrwalił mi się w pamięci jeden z epizodów mego udziału w walce z bandami zbrojnego podziemia. Dotyczy on trochę nie-
-typowego działania które, polegało na próbie wejścia do ich or-
-ganizacji. Otóż chodziło o zorganizowanie tzw. "wtyczki", gdyż

ciągłe gonitwy i pościgi nie przynosiły rezultatów. Stąd po jednej z wielu nieudanych akcji i przetrząśnięciu wioski, w której ślad nam się urwał, kierownictwo grupy operacyjnej w Augustowie doszło do wniosku, że należałoby dokonać próby wejścia w środowiska. Wśród kilku ochotników, śądnych wrażeń, byłem również ja. Wytypowano dwóch, mnie i jednego sierżanta z piechoty. Przekazano nam wiele informacji, przebrano i wyposażono w broń, wręczono nam środki sygnałowe oraz, podano pseudonimy itp. Następnie podwieziono nas w pobliże wioski, która rzekomo miała być siedziskiem bandy. Po skrytym wejściu do wioski, nawet dość szybko nawiązaliśmy w pewnym domu kontakt z ludźmi. Zaczęto nas już gościć i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie podejrzenie, jakie wysunięto pod adresem mego towarzysza, twierdząc, że go kilka dni temu widziano tu z wojskiem. W każdym razie był podobny do tamtego, bo miał także z przodu kilka złotych zębów. Prysło więc zaufanie do nas, zaczęto nas podejrzewać, nie pomogły tłumaczenia. Widząc fiasko naszych poczynań, ostrożnie lecz szybko i trochę w strachu, wycofaliśmy się do swoich w umówione miejsce, gdzie nas oczekiwano. Akcja ta, w której uczestniczyłem tym razem dla mnie nie była udana, chociaż innym się to udało, zwłaszcza wówczas gdy ludność udzielała nam szerokiego poparcia i pomocy, a z tym różnie bywało. Terror stosowany przez bandy powodował, iż wielu ludzi po prostu milczało.

VIII. JEDNA NOC W ŻYCIU SAPERA

Był późny wieczór listopadowy 1947 roku. Pełniłem wówczas służbę w pułku stacjonującym w Białej Podlaskiej. Właśnie powróciłem do domu by wypocząć po całodziennym trudzie.

Żona uspokajała kwilącą jeszcze córeczkę i wydawało się, że już będzie można zgasić światło i iść spać. Gdy tymczasem ktoś zapukał do drzwi. Okazało się, że to goniec, wysłany przez oficera inspekcyjnego pułku, przybył, by przekazać polecenie o niezwłocznym stawieniu się w jednostce. Cóż było robić, taki fakt miał miejsce nie po raz pierwszy. Nie przypuszczałem jednak, że tym razem oczekuje mnie zadanie związane z moją specjalizacją.

Po wejściu na teren jednostki nie zauważyłem jakichkolwiek przygotowań do wyjazdu, co ma zwykle miejsce przy tego rodzaju powiadomieniach. Spodziewałem się kolejnego wyjazdu zespołowego, a tymczasem wszędzie cisza. Nie wiem dlaczego, ale serce zabiło mi mocniej. Przy wejściu do sztabu już oczekiwał na mnie oficer inspekcyjny. Bez jakichkolwiek wyjaśnień z jego strony weszliśmy do pomieszczenia, w którym siedział mężczyzna w mundurze kolejarza, od którego dowiedziałem się, że na linii kolejowej Biała Podlaska, Terespol został wstrzymany ruch pociągów, bowiem - jak się okazało - około 1 km na zachód od stacji kolejowej Małoszewicze, zauważono pod torami minę.

Sprawa była poważna. Zahamowanie ruchu kolejowego na kierunku wschód - zachód, któredy przejeżdżały w obie strony liczne pociągi, w relacji wewnątrz krajowej jak i międzynarodowej, mogło spowodować poważne następstwa.

Mimo woli nasunęło mi się wiele pytań. Szybkie uzyskanie na nie odpowiedzi z pewnością ułatwiłoby wówczas znacznie wykonanie stojącego przed nami zadania. I tak na przykład - nie wiadomo było jakiego pochodzenia jest ta mina, a może założono ich tam więcej? Czy pozostała ona z okresu wojny, czy też została założona obecnie?

Gdyby znany był okres jej założenia można by było z dużym prawdopodobieństwem określić kto ją ustawił, a więc i w jakim kierunku skierować przygotowania. Jeśli by się okazało, że mina została założona w czasie wojny, wówczas można było przy-

puszczać, iż zadanie to mogli wykonać saperzy regularnych jednostek polskich lub radzieckich, względnie partyzanci. Również można by było ustalić rodzaj miny i sposób jej założenia, co zresztą wtedy było sprawą powszechnie znaną. Gdyby natomiast okazało się, że mina założona była niedawno wtedy można było przypuszczać, że mogła ją założyć któraś z band wrogiego podziemia. A w tym wypadku - ani typu miny ani sposobu jej ustawienia, nie można by było określić przed przeprowadzeniem odpowiedniego rozpoznania. Trzeba było być przygotowanym na wszystko.

Równoległe ze mną został powiadomiony jeden z dowódców plutonów, który ze swoim pododdziałem miał mi zapewnić ochronę w czasie pracy oraz magazynier posiadający sprzęt i środki potrzebne przy wykonywaniu tego rodzaju zadań.

W tym czasie byłem jedynym saperem w pułku, dlatego mogłem liczyć wyłącznie na siebie.

Po upływie pół godziny byliśmy już na dworcu kolejowym, gdzie buchał parą oczekujący nas parowóz. Na miejsce jechaliśmy około godziny. Podjeżdżając zauważyliśmy światło parowozu stojącego po stronie przeciwnej, wokół którego kręciło się parę osób. Na określone sygnały nasz parowóz zatrzymał się w odległości około 400 m od widocznych z dala świateł. Pozostałą drogę musiałem przejść piechotą, by skontaktować się z miejscowymi kolejarzami.

Z relacji naczelnika stacji Małaszewicze dowiedziałem się, że jeden z pracowników torowych, wracając z pracy do domu, zauważył zaizolowane przewody doprowadzające do tłucznia usypanego pod szynami. Przewody te odchodziły w kierunku gęstego zagajnika rosnącego wzdłuż torowisk. Jak stwierdzili wszyscy, do tego czasu nikt tych przewodów wcześniej nie widział. W tym momencie uświadomiłem sobie, że minę musiał ktoś założyć niedawno, że jest ona przygotowana do wysadzenia sposobem elektrycznym o czym świadczyły odchodzące od niej przewody, które prowadziły do wspomnianego wyżej zagajnika. A jeśli tak, to należało się również spodziewać, że miejsce jej ustawienia musi być pod stałą obserwacją.

Nim przystąpiłem do bezpośrednich oględzin miejsca, w którym tor został zaminowany, poleciłem dowódcy plutonu prze -

szukać zagajnik i wystawić posterunki ochronne. Również kolejarze, których na miejscu, mimo późnej pory, znalazło się sporo, zgłosili się na ochotnika do ochrony mimo, że żaden z nich, prócz rąk, nie posiadał nawet kija. Wykorzystaliśmy ich tworząc zewnętrzny pierścień posterunków obserwacyjnych. Mieli oni sygnalizować, gdyby ktokolwiek zbliżał się do naszego rejonu. Żołnierze tworzyli wewnętrzny pierścień ochrony.

Dla lepszego oświetlenia miejsca pracy poleciłem zbliżyć obydwa parowozy na możliwie minimalne odległości, mając jednocześnie na uwadze zapewnienie im bezpieczeństwa, na wypadek gdyby nastąpiła detonacja miny. Nie należało spodziewać się większego ładunku niż 5 kg. Ale nawet przy takim ładunku, promień rażenia jest większy aniżeli odległość na jaką trzeba było ustawić parowozy, by skutecznie oświetlały miejsce pracy. Nie pamiętam już dzisiaj jaka to była odległość. Ważne dla mnie było światło.

Ciemna noc... Tylko cztery smugi świateł rzucane z parowozowych reflektorów oświetlały tor kolejowy. Deszcz przestał padać, wiatr ustał, zapanowała głęboka cisza... Wszyscy obecni odeszli daleko, drużyny obydwu parowozów też się wycofały. Zostałem sam, nie widząc nawet nikogo w tym mroku. Skierowałem kroki do miejsca, w którym mina została założona.

Byłem cały podekscytowany... Słyszałem bicie własnego serca. Chociaż w pobliżu nie stwierdzono obecności obcych ludzi, to jednak nie miałem pewności, że w zagajniku nie ma nikogo i że po zbliżeniu się do miny nie nastąpi detonacja. Przecież gdzieś tam pod jednym z krzaków mógł być wykonany schron, z którego można było spowodować wybuch ładunku. Właśnie pamiętnego dnia, gdy straciliśmy oficera też nikogo nie widzieliśmy. W takim ukryciu można było spokojnie przeczekać aż wszystko się uspokoi i wówczas niepostrzeżenie opuścić kryjówkę.

Każda minuta bardzo mi się dłużyła. Ukierunkowany światłami, krok po kroku zbliżałem się do celu. Aż wreszcie stanąłem w miejscu, od którego odchodziły przewody. Wydawało mi się przy tym, że wszystkie moje poczynania trwają godziny, a w rzeczywistości była to zaledwie chwila jaką potrzebowałem na pokonanie odległości od parowozu do oznaczonego miejsca. Klęcząc, przeciąłem kolejno każdy przewód z osobna i odetchnąłem.

Teraz mogłem spokojniej przystąpić do odsłonięcia samej miny, wiedząc, że tylko ja sam decyduję o dalszych następstwach, że nikt inny nie może przez pokręcenie rączki w zapalarni elektrycznej posłać mnie w przestworza.

Zacząłem dokładnie przyglądać się miejscu między dwoma podkładami. Nad tłuczniem zauważyłem wystający pręt metalowy długości około 5 cm, zakończony kapturkiem. Wiedziałem już jakiej konstrukcji był zapalnik. Z tego rodzaju urządzeniem spotkałem się wielokrotnie podczas rozminowania kraju w latach 1945-1946. Był to zapalnik kolejowy PW-42 stosowany przez saperów polskich i radzieckich oraz przez naszych partyzantów. Należało również zakładać, że tego rodzaju urządzenia mogły być w posiadaniu grasujących tu band. Pierwszy rzut oka pozwolił stwierdzić, że kapturek, który powinien przylegać do spodniej części szyny jest oddalony od niej. Stąd przyczyna, że mina nie wybuchła pod ciężarem przejeżdżających pociągów. Rozpocząłem usuwanie tłucznia. Każdy kawałek kamienia miałem w ręku. Po odsłonięciu powierzchni ładunku stwierdziłem ostatecznie, że mina ta jest pozostałością wojenną, założoną najprawdopodobniej przez partyzantów.

I chociaż mina mogła zdetonować pod wpływem dwóch bodźców elektrycznego i mechanicznego to jednak, ze względu na brak źródeł prądu, nie mógł zadziałać zapalnik elektryczny. Ponadto okazało się, iż wadliwe ustawienie zapalnika PW-42, wykluczało też detonację od działania mechanicznego. Obecnie mina mogła tylko wybuchnąć na skutek zadziałania zapalnika, w przypadku gdyby części metalowe utrzymujące mechanizm uderzeniowy zostały osłabione na skutek ich skorodowania.

Na szczęście wszystko zakończyło się pomyślnie. Usunąłem obydwa zapalniki - elektryczny i mechaniczny - i po wykonaniu tych czynności usiadłem. Teraz stwierdziłem, że pot zalewał mi czoło. Zapaliłem papierosa i wreszcie odetchnąłem.

Będąc dowódcą kompanii, przez dwa powojenne lata kierowałem akcją oczyszczania kraju z min i innych środków i materiałów wybuchowych. Uczyłem żołnierzy by umieli panować nad sobą, koncentrując całą uwagę na wykonywanej pracy. Podnieconych, nie mówiąc już zdenerwowanych, nie dopuszczałem do pracy. Kilkogodziny wypoczynek, a czasami i dłuższy, sprawiał, że ludzie

przestawali wykonywać swoje zadania mechanicznie. Każdą czynność w czasie rozminowania wykonywali bez pośpiechu. Między innymi i dzięki temu nie miałem ani jednego śmiertelnego wypadku, chociaż ilość usuniętych min i wszelkiego rodzaju amunicji można by liczyć w setkach tysięcy.

Zadanie zostało wykonane. Transporty mogły znów przejeżdżać. Niebezpieczny ładunek spod ich kół został usunięty. Już był biały dzień, gdy parowóz odwiózł mnie z powrotem do Białej Podlaskiej. Tak zakończyła się jeszcze jedna, nie pierwsza i nie ostatnia, przygoda w mojej saperskiej służbie.

IX. MÓJ UDZIAŁ W ROZMINOWYWANIU ZIEMI MAZOWIECKIEJ

We wrześniu 1948 roku z rozkazu dowódcy 2 Pułku Saperów z b. sap. wyjechałem na akcję rozminowania terenów w rejonie Pułtuska, Ciechanowa i Makowa.

Dowództwo batalionu i 1 ksap zakwaterowały się we wsi Szelków. W kompanii tej dowodziłem pierwszym plutonem saperów. Pierwsze dwa dni poświęcono na urządzenie się i szkolenie saperów z zakresu przestrzegania przepisów bezpieczeństwa podczas rozminowywania.

Również w tych dniach przeprowadzono szczegółowe rozpoznanie pól minowych, a następnie kompanijny rekonesans z jednoczesnym przydziałem odcinków pól minowych dla plutonów. Przydzielone pola minowe do całkowitego rozminowania, z zaoraniem ziemi włącznie, zostały uprzednio częściowo i niedokładnie rozminowane, wskutek czego na polach tych kilka osób zostało rannych oraz zabitych zostało wiele zwierząt z gospodarstw chłopskich.

Mój pluton otrzymał odcinek pola minowego położonego najbliżej wsi Szelków. Przydzieliłem odcinki poszczególnym drużynom plutonu, po czym dowódcy drużyn przydzielili podległym saperom po 150 metrów pola. Rozpoczynając rozminowanie położyłem duży nacisk na dokładność i kulturę pracy saperów oraz na bezwzględne przestrzeganie przepisów bezpieczeństwa podczas rozminowywania. Początkowo saperzy na polu minowym zachowywali się różnie; jedni działali odważnie, inni byli wystraszeni, ale z czasem i oni nabierali coraz większej pewności siebie lekceważąc niejednokrotnie przepisy bezpieczeństwa. Widząc to surowo karciełem nonszalanckie zachowanie się najbardziej odważnych saperów. Na polu minowym pojawiły się pierwsze miny niemieckie przeciwpiechotne typu "Schütz" i "Schorüng". Zaostrzyłem przepisy bezpieczeństwa, w wyniku czego tempo rozminowania przez mój pluton było najniższe, w porównaniu do tempa pozostałych plutonów batalionu.

Przedstawiciel Szefostwa Wojsk Inżynieryjnych MON, kontrolując batalion skontrolował między innymi mój pluton, najprawdopodobniej z racji jego najniższej wydajności rozminowania.

Na odprawie kadry batalionu poświęconej omówieniu wyni -

ków kontroli przebiegu rozminowania płk Kowalski bardzo krytycznie ocenił rzekomo przesadną dokładność w pracy i przestrzeganiu przepisów bezpieczeństwa przez saperów mojego plutonu, twierdząc ironicznie, że mój pluton doczeka się zimy na tym samym terenie. W samych superlatywach ocenił plutony moich kolegów, a szczególnie drugi pluton, który osiągnął prawie dwukrotnie wyższą normę rozminowania.

Ogromne przykrości spotykały mnie ze strony dowódcy batalionu, który lubił być wyróżniany. Nie szczędził mi również słów krytyki dowódca kompanii. Broniąc się stwierdziłem, że już wielu ludzi zginęło na niedokładnie rozminowanych polach. Zapytałem: czy myśmy tu przyjechali po to, żeby po nas następni saperzy rozminowywali te same pola? Moja argumentacja tak zdenerwowała dowódcę batalionu, że gotów był mnie ukarać. Na zakończenie odprawy dowódca batalionu udzielił pochwały dowódcom drugiego i trzeciego plutonu za bardzo dobrą organizację rozminowania i ścisłe przestrzeganie przepisów bezpieczeństwa podczas rozminowywania oraz polecił, by dowódca kompanii udzielił wyróżnień żołnierzom tych plutonów.

W następnym dniu na porannym rozprawieniu odczytano rozkazy dowódcy batalionu i dowódcy kompanii o wyróżnieniach, w których nie znalazł się ani jeden żołnierz z mojego plutonu. Moi koledzy zaczęli sobie ze mnie pokpiwać, wyczuwałem również wyraźne niezadowolenie wśród moich dowódców drużyn, którzy widzieli we mnie człowieka zbyt drobiazgowego i przeczulonego na punkcie przestrzegania bezpieczeństwa. Wszystko to wpłynęło na mnie bardzo przygnębiająco, lecz starałem się tego nie okazywać. Prowadząc walkę wewnętrzną, wbrew mojemu sumieniu postanowiłem ostatecznie przyspieszyć tempo rozminowania i domagać się od podwładnych większych ilości powierzchni rozminowanej ziemi. Kontrolując na polu minowym pracę saperów zauważyłem na odcinku rozminowywanym przez jednego z saperów dwie oznakowane miny "Schprung" oraz ślady dołków po wyjętych w czasie poprzedniego rozminowania tego typu minach. Coś mi w tym stałym szablonowym schemacie minowania niemieckiego nie pasowało, brakowało mi w miejscu rozminowanym przez sapera najpierw jednego, a następnie drugiego dołka. Zachowując spokój i opanowanie rozkazałem saperowi opuścić chwilowo pole bez krótkiej ma-

ki i wykrywacza min. Założyłem słuchawki wykrywacza, włączyłem go i technicznie sprawdziłem, po czym rozpocząłem przy jego użyciu penetrację podejrzanych miejsc. Głośno piszczący modulowany jęk w słuchawkach wykrywacza i kilka ukłuc macką pozwoliły mi zlokalizować prawie niewidoczne groźne wasy druciane zapalników z minami "Sprung". Po zakończeniu w tym dniu rozminowania i przed rozpoczęciem wysadzania w ustalonym czasie wykrytych min zebrałem cały pluton i na miejscu omówiłem ten przypadek, akcentując, jak wielkie niebezpieczeństwo groziło temu saperowi i innym osobom na skutek niedokładności rozminowania.

W pięknym słoneczny poniedziałek, gdy stałem na pagórku, z którego obserwowałem pracę saperów mojego plutonu, niespodziewanie nastąpiła potężna eksplozja. Z przerażeniem spojrzałem w kierunku wybuchu i pracujących saperów. W rejonie rozminowania drugiego plutonu zauważyłem unoszącą się czarną chmurę dymu. Czyżby już była godz. 14.00, o której miało nastąpić wysadzenie wykrytych min? Spojrzałem na zegarek; było kilka minut po 11.00, upewniłem się więc, że wybuch nastąpił niespodziewanie. Obserwując miejsce wybuchu usłyszałem krzyki ludzkie. Stojący blisko mnie dowódca drużyny mojego plutonu krzyknął: "Obywatelu poruczniku to chyba wypadek w drugim plutonie! Nie zastanawiając się długo podbiegłem do pasącego się na pobliskiej łące konia, dosiadłem go i pogalopowałem na miejsce wybuchu. Przybyłem tam pierwszy, przywiązałem konia do kołka ogrodzenia pola minowego od strony zewnętrznej i zbyt odważnie podszedłem do miejsca wypadku.

Widok był okropny: potężny lej, a w odległości 30-50 metrów od niego po stronie rozminowanej leżały rozrzucone zakopane sadzą strzepy zwłok i umundurowania dwóch saperów. Na jednej z części zwłok zauważyłem na naramienniku dystynkcję kaprała, pomyślałem: pewnie zginął saper i dowódca drużyny. W chwilę później na miejsce wypadku przybyli oficerowie, a wśród nich dowódca kompanii; dowódca batalionu przyjechał z lekarzem sanitarką. Dowódca drugiego plutonu saperów wyjechał służbowo na kilka dni, w tym czasie zastępował go dowódca kompanii. Wszyscy obecni na miejscu wypadku zajęli się zbieraniem części zwłok do sanitarki. Na ich twarzach widać było ogromne przygnębienie, a twarz dowódcy batalionu wydała mi się zielona. Przed

odjazdem sanitarki dowódca kompanii wydał rozkaz przerwania rozminowania, a mnie postawił zadanie objęcia dowodzenia również nad drugim plutonem do chwili powrotu jego dowódcy.

Wracałem wolno, z opuszczoną głową, na koniu do swojego plutonu siedzącego przy ognisku. Również i tu panowały cisza i przygnębienie. Przytrzymując konia na łańcuchu usiadłem na chwilę między saperami. Spoglądałem w płomienie wesoło trzaskają - cego ognia, myśli moje powracały uparcie do niedawno widzianej tragedii. Otrząsnąwszy się z chwilowej zadumy bardzo ogólnie omówiłem skutki wypadku, po czym rozkazałem saperom powstać, zdjęć czapki i uczcić pamięć poległych minutową ciszą. W związku z zaistniałą sytuacją zapoznałem dowódców drużyn z rozkazem dowódcy kompanii oraz postawiłem im nowe zadania. Konia odprowadziłem na miejsce wypasu, gdzie czekał na mnie gospodarz, którego przeprosiłem za samowolne wypożyczenie konia.

Udałem się do rejonu drugiego plutonu, z którym przebywałem częściej niż ze swoim plutonem. Po przygotowaniu do wysadzenia wykrytych min zebrałem drugi pluton w pobliżu miejsca wypadku, gdzie omówiłem ten wypadek, a następnie dla uczczenia pamięci poległych kolegów ogłosiłem jednogminutową ciszę, w czasie której wysadzono miny. Była to bardzo wzruszająca chwila. Prawie wszystkim pojawiły się łzy w oczach, a jeden z dowódców drużyn głośno płakał, ponieważ stracił serdecznego kolegę ze szkolnej ławy. Po powrocie z dwoma plutonami do rejonu zakwaterowania udałem się do lekarza, który wraz z dwoma sanitariuszami składał części zwłok w całość za pomocą bandaży, a po przewiezonym ich skompletowaniu zawinął je w nowe białe prześcieradła; zwłoki te przypominały swym wyglądem mumię. Tylko pokaleczona i oparzona twarz kaprała była podobna do twarzy ludzkiej. Zwłoki umieszczono w oddzielnym, odpowiednio przygotowanym baraku na nakrytych stołach, przy których płonęły świece. Przy zwłokach postawiono wartę honorową. Następnego dnia po południu przyjechały rodziny poległych. Dowódca kompanii wyszedł ciężkim krokiem - jakby miał nogi z ołowiu - przed barak na spotkanie rodzin. Nastąpiły niezwykle bolesne i wzruszające chwile. Matka płakała głośno szlochając obejmowała i całowała zwłoki syna. Często mdlała, a w chwilach przytomności wołała: "Panie oficerze coście zrobili z moim synem"! Ojciec siedział

spokojnie na krześle, po policzkach płynęły mu nieprzerwanie łzy. Również bardzo bolesny był widok brata zabitego żołnierza; ukląkł on i uderzając czołem o zwłoki we łzach mówił: "to ja, Franiu, tylko sam zostałem, nacjonaliści ukraińscy zamordowali nam rodziców i siostry, a ciebie miny rozszarpały!"

Na drugi dzień odbył się piękny pogrzeb z asystą honorową i udziałem miejscowej ludności. Niezliczona ilość wieńców i kwiatów pokryła świeżo usypane mogiły poległych saperów.

Podczas dalszego rozminowywania na rozminowanym przez poległego saperę terenie znaleziono kilka groźnych min niemieckich przeciwtransportowych typu "RMI-43".

Powołana przez dowódcę pułku saperów komisja w celu ustalenia przyczyn tego wypadku stwierdziła, iż główną jego przyczyną było brak przestrzegania elementarnych zasad przepisów bezpieczeństwa przy rozminowaniu przez poległych saperów.

Po tym nieszczęśliwym wypadku Szefostwo Wojsk Inżynieryjnych MON przeprowadziło kontrolę, która bardzo wysoko oceniła organizację rozminowania stosowaną przez mój pluton. Często z ubolewaniem wspominamy to tragiczne wydarzenie z płk. dypl. W. Kuralem, byłym dowódcą pierwszego plutonu saperów drugiej kompanii tego samego batalionu.

X. WALKA Z ŻYWIOŁEM

W 1955 r. mroźna i śnieżna zima skuliła grubą pokrywą lodową rzeki i zbiorniki wodne w Polsce. W warunkach gwałtownej odwilży powódź ze spływem lodów była nieunikniona.

Przewidując taką sytuację Szefostwo Wojsk Inżynieryjnych MON zawczasu opracowało plan udziału wojsk inżynieryjnych Wojska Polskiego w akcji przeciwpowodziowej. Zgodnie z rozkazem dowódcy SOW, bsap. otrzymał zadanie przygotowania się i prowadzenia akcji przeciwlodowej na rz. Odra w rejonie m. Ścinawa. Pełniłem wówczas obowiązki dowódcy batalionu. W marcu batalion przegrupował się do m. Przychowa. W wyniku gwałtownej odwilży w całym kraju, na Odrze nastąpił wielki spływ ogromnej ilości kry lodowej. Na dużych zakolach Odry permanentnie tworzyły się różnej wielkości zatory lodowe.

Grupy saperów na przydzielonych odcinkach z powodzeniem likwidowały tworzące się zatory lodowe. W dzień i w nocy trwała bohaterka walka saperów z groźnym żywiołem. Z przemęczenia i niewyspania śniali się oni na nogach, a białka ich oczu były mocno przekrwione.

Punktem kulminacyjnym prowadzonej akcji przeciwlodowej było utworzenie się ogromnego zatoru lodowego na Odrze w rejonie m. Rajczyn; zator ten bardzo szybko się powiększał. Dłuższe zwlekanie z jego likwidacją groziło mieszkańcom tego rejonu powodzią. Nie mając już w batalionie żadnych rezerw zdecydowałem mniej dotychczas zaangażowane w pracy grupy saperów skierować do likwidacji zatoru. Objąłem kierownictwo akcją jego likwidacji. Postawiłem zadania trzem grupom /każda w sile około plutonu/, po czym rozładowano 6 pontonów, na które załadowano materiał wybuchowy, środki minersko-wybuchowe oraz sprzęt pomocniczy. Na pontonach płynęliśmy 1 km nad zalaną, zarosniętą krzakami doliną Odry do utworzonego zatoru. Po dopłynięciu do celu zobaczyliśmy przerażająco wielki, wysokości kilkumetrowego domu zator lodowy, ciągnący się około 5 km wzdłuż doliny Odry.

Po krótkim rekonesansie zatoru saperzy przystąpili do zakładania 8 ładunków, każdy o wadze 200-300 kg materiału wy-

buchowego. Rozwinęli sieć elektryczną, podłączyli do przewodów magistrali zwiniętej na bębnie. Osobiście wskazałem miejsca umieszczenia ładunków i obecny byłem przy ich zakładaniu. Praca była ciężka, trudna i bardzo niebezpieczna. Mimo zrealizowania szeregu przedsięwzięć zgodnie z przepisami bhp, na każdym kroku groziło nam poważne niebezpieczeństwo, szczególnie w razie ruszenia z miejsca zatoru podczas zakładania ładunków wybuchowych. Dzięki rzadko spotykanej odwadze i ogromnemu poświęceniu ochotników-saperów, którzy zgłosili się do bezpośredniego przenoszenia i zakładania ładunków wybuchowych, oraz zastosowaniu wielu dobrych pomysłów w ciągu niespełna pół godziny zameldowano mi o gotowości sieci wybuchowej do wysadzenia. Po sprawdzeniu przewodności, rozwinięciu z bębna przewodów magistrali i przymocowaniu ich do krzaków lub kołków odpłynęliśmy na pontonach w bezpieczne miejsce. Nie zwlekając rozkazałem przygotować elektryczną sieć wybuchową do wysadzenia ładunków. "Na moją komendę - wysadź!" Ogromna siła wybuchu wzniosła wysoko potężne masy wody zmieszanej z lodem, które opadając na drzewa, wodę i lód powodowały wielki huk i łoskot. W trakcie potężnego wybuchu zator wykonał jak gdyby ruch wahadłowy wzdłuż koryta Odry. W wyniku ocierania się o siebie ogromnych tafli kry lodowej słychać było przerażające "ryki". Potężne tafle lodowe wchodziły na siebie, inne pionowo zanurzały się w wodzie i masie kry, a jeszcze inne - wynurzały.

Wszystko to składało się na fantastyczne i przerażające widowisko, które można by porównać do tonięcia wielkiego okrętu w falach morskich w czasie rozszalałego sztormu.

Leniwy gigantyczny zator zaczął nabierać rozpędu; napotkane przez niego drzewa pękały z trzaskiem i łamały się jak zapalki. Saperzy, którzy na chwilę osłupieli z wrażenia, rzucaли się sobie w objęcia. Z oczu ich promieniowały radość i duma wypływające z poczucia dobrze spełnionego obowiązku. Dziękowałem serdecznie każdemu saperowi uściskiem dłoni, a najbardziej odważnych i ofiarnych brałem w objęcia jak synów, mówiąc "brawo chłopcy"!!

Po wykonaniu ciężkiej i odpowiedzialnej pracy piekielnie zmęczeni i głodni saperzy z zadowoleniem rzucili się na drugie śniadanie. W trakcie śniadania wystraszony kierowca mojego ga-

zika zameldował mi, że jestem natychmiast wzywany do radiostacji w bardzo ważnej sprawie. Zakląłem w duchu, że nie pozwalają mi zjeść spokojnie śniadania. Przez radiostację usłyszałem przeraźliwym głosem składany mi następujący meldunek: "Obywatelu kapitanie pomocnik szefa kuchni kapral melduje. Otrzymałem od sekretarza Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Ścinawie wiadomość, że około godziny 11.00 dwóch chłopców z technikum w Ścinawie płynęło na oderwanej krze z prądem rzeki Odry, błagając o ratunek". Natychmiast wezwałem do siebie dowódców grup i wydałem im krótki rozkaz: od godziny 11.00 dwóch chłopców ze Ścinawy płynię na małej krze na Odrze, ich życiu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo - musicie ich za wszelką cenę uratować. Spojrzałem na mapę i zegarek i ustaliłem najbardziej prawdopodobne miejsca, gdzie obecnie może być kra z chłopcami. Podzieliłem 10-kilometrowy odcinek rzeki na trzy części. Dwie grupy skierowałem do miejsca, gdzie prawdopodobnie była teraz ww. kra. Trzecią grupę z zajmowanego obecnie miejsca skierowałem wzdłuż Odry w górę rzeki.

Sam postanowiłem udać się do rejonu zakwaterowania, a stamtąd popłynąć wzdłuż Odry. Meldunki radiowe od grup miałem otrzymywać co 15 minut. Do swojej grupy włączyłem po dwóch saperów z poszczególnych grup, którzy umieli pływać z łodzią ŁWN i dwoma pasami ratunkowymi. W ciągu kilku minut od chwili wydania przeze mnie rozkazu grupy wyruszyły w drogę. Jadąc ze swoją grupą samochodem z maksymalną szybkością w ciągu około pół godziny znalazłem się w rejonie zakwaterowania. Dojeżdżając do niego, ku mojemu zdumieniu zauważyłem kilkudziesięcioosobową grupę cywilów, a wśród nich bardzo gestykulującego kaprala. Na mój widok kapral z uradowaną miną podbiegł do mnie. "Obywatelu kapitanie - melduję, że z kucharzami i szewcem uratowaliśmy chłopców!" Ze wzruszeniem objąłem go i poklepałem po plecach. - A gdzie oni są? - W pokoju, krzyczały uradowane dzieci. - Ma pan kapitan dzielnych żołnierzy, odzywały się głosy cywilów. Widziałem spłakane kobiety. Wszedłem do ciepłego pokoju, w którym ubrani w bieliznę żołnierską leżeli pod kocami dwaj mili chłopcy, zmęczeni i wystraszeni. Podałem im na powitanie rękę, którą oni koniecznie chcieli ucałować. Niestety, nie zapamiętałem ich nazwisk, a tylko imiona: Tadeusz i chyba

Władysław. Kapral, kucharze i szewc z wielką satysfakcją opowiadali mi o akcji ratunkowej uwieńczonej wspaniałym sukcesem. Lzy popłynęły mi z oczu, gdy opowiedzieli mi, że chłopcy na widok żołnierzy płacząc ochrypłym głosem rozpaczliwie błagali: "Ratujcie nas!".

Po jakimś czasie przybyli dyrektor technikum, rodzice chłopców i inne osoby. Jak zwykle matki zalewały się łzami całując z wdzięcznością wybawców swych synów. Bez przerwy padały z ust rodzin wyrazy wdzięczności i uznania. Pożegnanie chłopców było wzruszające.

Na drugi dzień rano podczas zbiórki wygłosiłem krótkie przemówienie, w którym dziękując za ofiarność i poświęcenie w ramach swych uprawnień awansowałem i nagrodziłem urlopami bohaterów zarówno akcji ratowniczej, jak i akcji przeciwłodowej. Następnego dnia w prasie wojskowej ukazał się artykuł, w którym ówczesny Szef Wojsk Inżynieryjnych MON gen. Władysław Piliński dziękował mojej jednostce za uratowanie chłopców i zlikwidowanie groźnego zatoru. Od tego czasu upłynęło już 20 lat, myślę jednak, że historia ta warta jest przypomnienia.

XI. PRZEŁĘCZ DUKIELSKA Z LAT PIEDZIESIATYCH

Po objęciu w pierwszych dniach stycznia 1951 r. stanowiska dowódcy 20 bsap już w lutym otrzymałem rozkaz przygotowania batalionu do rozminowania Przełęczy Dukielskiej. Rozminowanie miało być prowadzone dwa razy w ciągu roku w okresie wiosennym przed wyjazdem na obóz i jesienią - po inspekcji.

W zadaniu, jakie otrzymał batalion, wyraźnie sprecyzowano, że w pierwszej kolejności należy rozminować /sprawdzić/ kilkunastometrowej szerokości pas przygraniczny, ogólnej długości około 15 km. A w dalszej kolejności rozminowywać tereny według własnego uznania. Równocześnie nakazano, aby wyjazd i prace batalionu w okresie wiosennym traktować jako szeroko pojęte rozpoznanie i po powrocie przedstawić Szefostwu Wojsk Inż. DOW Kraków wniosek odnośnie potrzeb w siłach i środkach oraz organizację rozminowania. Całkowite rozminowanie Szefostwo orientacyjnie planowało zakończyć w 1954 r. Teren był niełatwy, obejmował pas od Dukli niemal pod Gorlice. Wówczas był on słabo zaludniony, wioski spalone podczas wojny jak i po wojnie w wyniku zbrodniczej działalności band UPA. Spotykało się dużo kalek. Jak się później okazało, ludzie ci, zniecierpliwieni przeciągającym się rozminowaniem, samorzutnie przystępowali do rozminowywania swojej ziemi, stąd tyle nieszczęść.

W drugiej dekadzie marca wyjechałem z dowódcami kompanii na rozpoznanie przyszłych rejonów pracy. Teren ten nie był dla mnie zupełnie obcy. W 1948 brałem udział w rozminowaniu terenu na kierunku Żmigród, Jasło. Ja byłem st. adiutantem batalionu /w dzisiejszym rozumieniu szef sztabu/. Z racji zajmowanego stanowiska prowadziłem rozpoznanie i utrzymywałem kontakty z miejscowymi władzami.

Przed wyjazdem, na podstawie danych uzyskanych w Szefostwie Wojsk Inż. DOW Kraków oraz od kolegów, którzy już wcześniej w tych rejonach prowadzili rozminowanie, naszkicowaliśmy coś w rodzaju planu rozpoznania. Przed przystąpieniem do pracy postanowiliśmy najpierw zapoznać się ogólnie z warunkami pracy, a następnie nawiązać kontakty przede wszystkim z dowódcami strażnic. Ze względu na leżący śnieg, nie mogliśmy dojechać do takich miejscowości, jak Polany, Ciechanie, Myscowa. Dane uzyska-

ne od miejscowej ludności były skąpe. Prowadząc rozmowy z wieloma mieszkańcami staraliśmy się ustalić miejsca, gdzie już wcześniej pracowali saperzy, kiedy i które tereny oddano jako rozminowane, w których miejscach ginęli bądź byli ranni saperzy i ludność miejscowa na skutek działania min. Dokładnego przebiegu linii frontu nie mogliśmy ustalić, ponieważ przez cały okres jesieni 1944 r. i zimy 1945 r. stale prowadzone były lokalne walki i front zmieniał się.

W rezultacie wyjazd ten był o tyle pożyteczny, że zapoznaliśmy się ogólnie z terenami i ustaliliśmy kolejność i orientacyjne rejony prac oraz zakwaterowanie batalionu. Jednocześnie w dowództwie brygady WOP w Krośnie uzgodniliśmy warunki zaopatrzenia batalionu i sprawy związane z współpracą z WOP, a które dotyczyły warunków poruszania się batalionu w strefie przygranicznej i pomocy dowódców strażnic podczas sprawdzania pasa przygranicznego, a także sprawdzenia terenu wokół niektórych strażnic na zaminowanie /w czasie walk z bandami UPA podejścia do strażnic były zaminowane/.

Zdecydowałem, że batalion rozmieszczę w m. Polany ze względu na centralne położenie i stosunkowo dobre warunki zakwaterowania.

W końcu marca wyjechałem z batalionem na rozminowanie. Do pracy przystąpiliśmy w pierwszych dniach kwietnia.

Praca była o tyle trudna, że w tym terenie saperzy pracowali od 1945 r. Jedno i to samo pole minowe rozminowywały różne jednostki. W Szefostwie Wojsk Inż. DOW Kraków nie było pełnej dokumentacji odnośnie dotychczas wykonanych prac. Z braku danych o polach minowych /byłych polach minowych/ ustaliliśmy, że szczegółowe rozpoznanie będziemy prowadzić wzdłuż dolin i grzbietów wzgórz i w kierunku wzniesień zamykających doliny. Usytuowanie byłych pól minowych nie nastroczało dużych trudności ponieważ pozostały ślady, jak chorągiewki, wiechy, miejsca po wybuchach, szczątki kadłubków min oraz uszkodzone na polach minowych dziesiątki czołgów i dział pancernych. Nie mieliśmy pewności czy wszystkie miny zostały zdjęte. Jako przykład przytoczę, że w rejonie góry CERGOWA określiliśmy granice byłego pola minowego na podstawie zewnętrznych oznak i mieliś-

my prawo sądzić, że zostało ono rozminowane, jednak przy dokładniejszym sprawdzeniu stwierdziliśmy, że w ziemi są ustawione całe rzędy min przeciwpancernych. Okazało się, jak to odtworzyliśmy, że jedno pole minowe w śniegu założyły wojska radzieckie, a wcześniej prawdopodobnie w jesieni w tym samym miejscu pole minowe ustawiły wojska niemieckie. Były też przypadki, że w jednym i tym samym miejscu w ziemi były ustawione miny niemieckie i radzieckie. Początkowo sądziliśmy, że jedna ze stron ustawiała własne i zdobyczne miny. W 1952 r. otrzymałem z Szefostwa niemieckie formularze pól minowych /zostały one przesłane z byłej brytyjskiej strefy okupacyjnej, nawiasem mówiąc były wykonane bardzo starannie i dokładnie/ i wówczas stwierdziliśmy, że były to oddzielnie ustawione pola minowe przez obie walczące strony.

Rozpoznanie było prowadzone tyralierą przy zachowaniu odległości 50 m między saperami z zachowaniem wszystkich wymogów bezpieczeństwa. Średnio dziennie jeden saper wykonywał wąskie przejścia długości 100 m. Po napotkaniu pola minowego oznakowywaliśmy jego granice najczęściej drutem kolczastym, oraz umieszczaliśmy tablice ostrzegawcze. Jest rzeczą zrozumiałą, że nie było to rozpoznanie szczegółowe a ogólne. Chodziło głównie o zorientowanie się w zakresie prac.

Mówiąc uczciwie i szczerze ani ja ani dowódca kompanii nie mieliśmy pełnego obrazu. Okazało się, że miesiąc czasu było za mało, ażeby rozpoznać cały wyznaczony teren. Zameldowałem szefowi wojsk inżynieryjnych DOW Kraków ppłk Pecha /którego później zastąpił płk Tyrin/, że mimo wysiłku, ofiarności itp. nie możemy przedstawić szczegółowych danych. Niemniej na podstawie tego, co już rozpoznaliśmy, stwierdziłem, że 20 bsap bez żadnej pomocy do 1954 r. nie wykona zadania. Zapadła decyzja, żeby jesienią w dalszym ciągu prowadzić rozpoznanie, przy równoległym sprawdzaniu pasa przygranicznego i przygotować front pracy dla swego batalionu i dwóch innych z SOW, które wezmą udział w rozminowaniu. W sumie w tym rejonie miały pracować trzy bataliony saperów. Odpowiedzialnym za koordynację i wykonawstwo prac uczyniono mnie.

Zgodnie z planem prace zakończyliśmy na początku maja i natychmiast po powrocie do granizonu wyjechaliśmy na obóz letni.

Jesienią po zdaniu inspekcji wyjechaliśmy ponownie na rozminowanie. Pracę batalionu zorganizowałem podobnie jak to miało miejsce wiosną. Rozpoznaniem były objęte następujące miejscowości Iwla, Polany, Krępna Żydowskie, Ciechanie, Myscowa Huta Polańska. Warunki pracy były trudne, mgła, częste deszcze, trudne i długie podejścia do rejonów pracy nie wpływały dodatkowo na wydajność pracy. Gdy ziemia zamarza wróciliśmy do garnizonu.

Nie sposób nie wspomnieć o dowódcach pododdziałów, z którymi pracowałem. Byli to uczciwi i dobrzy oficerowie, a przede wszystkim wysokiej klasy specjaliści. A byli to: por. St. Bajewski, por. St. Woźniak, por. W. Czarnecki /już dziś nie żyje / por. S. Sałbut, st. sierż. A. Rogiński. Bardzo miłe wspominam okres pracy z nimi.

W 1952 r. obiecane bataliony nie przybyły. Rozminowanie prowadziłem więc tylko swoim batalionem. Równoległe z rozminowaniem prowadziłem rozpoznanie. Obecnie nie pamiętam ilości zdjętych min lecz wiem, że nie były to imponujące wielkości chyba rzędu 10-15 dziennie. A przecież rozminowanie prowadziłem według wówczas obowiązujących zasad, jakie stosuje się na normalnym polu minowym. Z upływem dni saperzy zaczęli w sposób lekceważący pracować na polu minowym.

Główną naszą troską było utrzymanie dyscypliny w czasie pracy na polu minowym. Mogłem wówczas przekonać się, jakie niepowetowane szkody czyni się, gdy do końca nie doprowadzi się raz zaczętego dzieła /mam na myśli styl pracy jednostek, które uprzednio pracowały w tym rejonie/.

Dla przykładu podam, że w czasie rozpoznania pól w wyższych partiach gór, napotkaliśmy pole minowe tylko częściowo ogrodzone; później okazało się, że były tam dwa równoległe pola minowe, przeciwpiechotne radzieckie z min PMD-6 i POMZ oraz niemieckie przeciwpiechotne z min "S" i z min o kadłubie drewnianym. Jako ciekawostka między tymi polami leżał samolot; miał tylko wymontowane niektóre zegary, odnosiło się wrażenie, że niedawno wylądował.

Innych nowych pól minowych nie rozpoznano. Jak wspomniałem poprzednio, w rejonie Ciechanie było cmentarzysko czołgów i dział pancernych. Meldowałem o tym swoim przełożonym.

W owym czasie jednostki miały narzucony kontyngent zdania złomu stalowego i kolorowego, zostałem przez dowódcę dywizji obarczony przygotowaniem tego złomu. Wywozem przygotowanego złomu zajmował się oficer ze sztabu dywizji. Na złom został pocięty również i samolot. O ile pamiętam, to trzeba było przygotować około 200 ton złomu. Wszystko to odbywało się kosztem rozminowania. Złom przygotowywaliśmy w nieco mniejszych ilościach i w następnych latach. Czołgi wysadzaliśmy za pomocą min i pocisków umieszczonych w środku czołgu. Pierwszy czołg rozleciał się nam doszczętnie z wyjątkiem wieży, która odleciała na kilkadziesiąt metrów.

Pracując w tym rejonie jeszcze w 1952 r. dobrze poznaliśmy ten teren oraz właściwości ustawionych pól minowych i stan techniczny poszczególnych rodzajów min.

Miny przeciwpancerne były zakładane nie tylko wzdłuż dolin i dróg, ale również wzdłuż strumieni. Natomiast miny przeciwpiechotne oraz pola minowe mieszane były ustawiane wzdłuż grzbietów i na podejściach do punktów oporu.

W bardzo dobrym stanie zachowały się miny "S" i miny przeciwpancerne o metalowych kadłubach. Miny o kadłubach drewnianych były przegniłe, zapalniki zardzewiałe, a materiał wybuchowy zwietrzały.

Spotykało się szczątki ludzkie, szczególnie w wyższych partiach gór. W dość dobrym stanie zachowały się drogi kolejowe, schody, wyciągi budowane w czasie wojny.

W 1953 r. wzięły udział w rozminowaniu dwa bataliony saperów z SOW, którymi dowodzili kpt. Zdzisław Jamny i kpt. Jerzy /Leszek/ Starzyński. Włączenie ich do pracy przebiegało sprawnie według z góry opracowanego planu. Współpraca ułożyła się dobrze. Wiele nurtujących mnie problemów omówiliśmy między sobą i wnieśliśmy do planu poprawki dotyczące kolejności rozminowania.

Prowadząc kontrolne rozminowanie większość min znajdowaliśmy na granicach pól minowych, a mniej w środku byłych pól minowych.

Wiosną 1953 r. zakończyliśmy sprawdzanie przygranicznego pasa i terenów wokół byłych i istniejących strażnic.

W końcu 1954 zostało całkowicie zakończone rozminowanie

z- wyjątkiem pól minowych położonych w lesie. Pól tych nie można było rozminować jesienią 1954 z uwagi na suszę, jaka w tym czasie panowała, a władze miejscowe nie dysponowały odpowiednimi środkami do gaszenia pożarów. Pola te rozminowała 2 WCBSap, a organizacją prac kierował mjr St. Skiers.

W ubiegłym roku przeglądając prasę znalazłem wzmiankę, że Polany i Myscowa zapraszają na wczasy i oferują - i tu nie wierzyłem własnym oczom, miejsca w domach wczasowych, rozrywki w klubie /dyskoteka/. Wróciłem myślami do lat 1951 i naprawdę nie mogłem sobie takiego widoku urzeczywistnić. Obiecałem sobie, że muszę tam pojechać i zobaczyć.

Wydrukowano w 100 egz.

Egz.nr 1-100 Katedra K-17
Do druku przygotował
zespół redakcyjny w składzie
Zdz. Mydłowski, L. Rutkowski
Poz. 936/WW
Druk ASG-OXV-6850
Zam. 891 z dn. 15. 04. 75r.
Kor. H.W.

